Nr. 27. Kraków, dnia 3 lipca 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Z numerem bieżącym TYGODNIK NARODOWY rozpoczyna trzeci kwartał swej pracy. Rozpoczyna go w tej chwili, kiedy po kraju całym ogół gotuje się do licznego udziału w Zlocie krakowskim i w uroczystościach Grunwaldzkich.

Uroczystości Grunwaldzkie w kraju się już rozpoczęły. Posiadają one odrębną fizyognomię od wszelkich innych urządzanych u nas obchodów. Drgnęły najżywsze uczucia narodowe, rozkołysały się najświętsze pragnienia nasze. I dla tego obchody Grunwaldzkie, które odbywają się w różnych stronach kraju, mają w sobie tak wiele nastroju uroczystego i tyle siły, tężyzny, żywiołowości.

Wypowiada się w niej nieskrępowana niczem myśl nasza i społeczna energia. Przełamywać ona musi wiele przeciwieństw osobistych. Z dumą możemy stwierdzić, że wiele jest w tem pracy TYGODNIKA NARODOWEGO.

Od samego początku praca nasza szła w kierunku obudzenia uczuć narodowych i szerzenia kultu tej rocznicy. Zwolna wsiąkała w ogół i zlewała się z myślami powszechności. Była więc odczuciem pragnień ogólnych i stawała się ich wykładnikiem.

Bo pismo nasze oddało się niepodzielnie w służbę idei narodowej. W rocznicę Grunwaldzką powstałe, przy pomocy i współudziale pracowników w Wielkopolsce, która tyle przeżyła z epigonami krzyżaków, starało się zawsze o służenie dobru publicznemu i na tej drodze nadal kroczyć będzie.

Za pracę taką uważamy uprzystępnienie zdobyczy kultury i nauki najszerszym warstwom, uprzystępnienie skarbów naszej literatury wszystkim. Intencye nasze ogół zrozumie: Czytelnicy nasi wsparli gorliwie nasze usiłowania. Mamy też głębokie przekonanie, że przy nowym kwartale i nowym półroczu, Czytelnicy użyczą TYGODNIKOWI podwójnego poparcia i w dwójnasób wznowią nasze dotychczasowe szeregi.

Praca społeczna na wsi.

Struktura wsi galicyjskiej w ostatnich latach sześćdziesięciu uległa zmianom zasadniczym. Punktem wyjścia zmian wszelkich było uwłaszczenie włościan przez rząd austryjacki dopiero w r. 1848, chociaż ostatnie sejmy państwa polskiego kładły w Konstytucji Trzeciego Maja 1791 r. pierwsze fundamenty pod zniesienie pańszczyzny i uobywatelenie chłopa; chociaż niejednokrotnie właściciele ziemscy nie posiadający nawet znaczniejszych włości, uwłaszczali dobrowolnie chłopów; chociaż sejmy stanowe galicyjskie kilkakrotnie uchwalały rezolucje za uwłaszczeniem.

Ale chociaż pańszczyznę zniesiono, pozostał długo jeszcze we wsi duch pańszczyźniany. Mogła uledz zmianie duchowość chłopa, pomimo że zmieniły się z gruntu stosunki prawo-społeczne. Obyczajowość jego nie wyszła z poza ram dotychczasowych, tryb jego życia w stosunku do sąsiadów włościan jak i ziemian z większych własności pozostał ten sam: patryjarchalność dworu pozostała na długie lata, stosunek do sąsiednich chłopów pozostał obojętny, a polityka społeczna chłopów pomimo użyczenia im samodzielności — przez długie lata samodzielną być nie mogła.

Dopiero w drugim pokoleniu chłopskiem popańszczyźnianem obudza się tzw. ruch ludowy. Wskutek nieudałych pierwszych usiłowań dopiero kierunek ks. Stanisława Słojałowskiego w ósmym dziesiątku ubiegłego stulecia znajduje oparcie w masach włościańskich.

Stojałowski umiał w chłopie polskim obudzić duszę. Nie zaznaczał odrębności interesów włościaństwa, ani nie siał zasad separatyzmu chłopskiego, który później przyjął się wskutek propagandy czynników innych: wprawdzie w ruchu Stojałowskiego były w rozmaite zboczenia, niewątpliwie spowodowane rozlicznemi bieżącemi przeszkodami, których im ani rząd ani domowi przeciwnicy nigdy nie skąpili — na ogół atoli

działalność jego szła w kierunku pozytywnym, realnym i twórczym.

Po załomie w jego stronnictwie i w jego ruchu, kierunek ogólny ruchu ludowego przeszedł w ręce rzeczników odrębności chłopskiej, rychło jednak się po dwudziestu latach przesilił, aby obecnie iść jako ruch ludowy, demokratyczny w kierunku wybitnie narodowym.

Ten pierwszy i obecny okres ludowej pracy twórczej w stosunkach gospodarczych posiada duże podobieństwo. O ile okres pierwszy kładł podwaliny pod rozwój gospodarczy wsi, o tyle w okresie obecnym, po przesileniu, ruch gospodarczy staje się powszechny i żywiołowy.

Mówiąc o tem, mamy na myśli Towarzystwa Kółek Rolniczych. Lat prawie 30 mają za sobą czynnej propagandy oświaty i kultury gospodarczej. W systematycznej pracy dzień w dzień, tydzień w tydzień, praca kółek rolniczych zmieniała do gruntu fizyognomię wsi polskiej, zmieniała też charakter chłopa.

Włościanin nasz staje się obywatelem kraju i człowiekiem narodu w całem znaczeniu tego słowa. Krzepnie z dniem każdym świadomość narodowa, a z nią tężeje poczucie jedności. Z poczuciem jedności wzrasta potrzeba zbiorowości pracy, która przelewa się na wszystkie pola.

Poczucie jedności i zbiorowości pracy rozbudziła w duszy naszego ludu oświata, którą od lat niosą na wieś wszystkie lepsze jednostki narodu. Część pracy wzięło na siebie Tow. Kółek rolniczych, któremu przypadła praca najbardziej zaniedbana: stwarzanie na wsi kultury gospodarczej i podnoszenie dobrobytu mas ludowych. Cele te w warunkach obecnych dadzą się osięgnąć tylko przez zorganizowaną pracę mas zbiorowych pod hasłem współdzielczości. Zbiorowa praca ta nie może być przez nikogo narzucona, nie powstałaby pod naciskiem żadnego zewnętrznego przymusu. Wzrasta nieustannie z samego podłoża wsi, z potrzeby dyktowanej warunkami gospodarczymi. A tylko take praca samodzielna może być bogata w owoce.

Organizacya Kółek rolniczych w r. ub. zwiększyła się o 14 000 członków i liczy obecnie 63.979 członków. Zorganizować ponad 60.000 gospodarzy — to już czyn bardzo duży: więc też Kółka rolnicze są największą organizacyą w Polsce ludzi i pracy. Dodajmyż do tego, że w Kółkach gromadzą się nie sami mężczyźni, że przy Kółkach coraz częściej grupują się *kobiety*, że powstają osobne kursy gospodyń wiejskich; Kółek wogóle jest 1692, w tem zaś 222 powstałych w roku ostatnim; mieszczą się one przeważnie w Galicyi zachodniej, gdzie kultura jest wogóle wyższa, ale coraz częściej powstają i we wschodniej części kraju. W zasadzie do Kółek Rolniczych mogą należeć i Polacy i Rusini: Rusini jednak w latach ostatnich, o ile nie zdołali opanować Kółka i przejąć majątku dla siebie, ustępowali z nich i stwarzali organizacye osobne.

Praca Kółek rozciąga się w trzech kierunkach: w kierunku podnoszania oświaty, zmiany produkcyi i organizowania handlu wiejskiego.

Kółka utrzymywały bibliotekę, obejmującą przeważnie książki gospodarcze. Dziełek takich w bibliotekach znajduje się 82.321, a nadto do kółek przychodzi 3508 czasopism. Prócz tego urządzano często zebrania z odczytami lub pogawędkami (było ich 40.000), wycieczki, obchody narodowe i okolicznościowe, przedstawienia teatralne itp.

Ze wzrostem oświaty szło zainteresowanie się włościan pracą współdzielczą na polu produkcyi rolniczej i w handlu wiejskim. Zapoznawano więc włościan z warunkami nowoczesnej produkcyi rolniczej, wprowadzono nowe metody pracy, ale jakie wyniki praca ta dała, dziś obliczyć się nie da: rezultaty zawarte są w bilansie ogólnego bogactwa narodowego. Kto przejrzy, ile Kółek wprowadziło nowe odmiany zbóż, nowe rośliny pastewne, nowe gatunki drzew owocowych, zmianę uprawy roli, ten zrozumie, ile Kółka zasług położyły w budowaniu kultury rolniczej w kraju naszym.

Tutaj należy także podnieść organizacyę zbiorowego ekspotu bydła i świń na rynki wiedeńskie i obce, rzecz usamodzielniającą ludność i wydzierającą ją z rąk nieuczciwych pośredników. Dobre rezultaty w tym kierunku skłoniły zarząd główny do podjęcia propagandy zbiorowej produkcyi rolniczej i to zarówno w kierunku produkcyi zbóż i nasion, jak i w kierunku hodowli bydła.

W uzdrowieniu stosunków handlowych wsi Kółkom chodziło o usunięcie wyzysku tak przy kupnie towaru jak i sprzedaży, wyzysku uprawianego na wsi niemal stereotypowo przez każdego żyda-szynkarza — i przez zdobycie uczciwego pośrednictwa. Często włościanie kupują towary w dostawach głównych za pośrednictwem Zarządu głównego; zawsze jednak zarząd dąży do utworzenia przy każdem Kółku własnego sklepika handlowego. Dziś w kraju sklepików jest 900. Jak prosperuje handel w kółkowych sklepach dowodem, że obrót towarowy przedsiębiorstw kółek oceniać należy na 15 milionów koron.

Oprócz wymienionych prac Kółka rolnicze zajmowały się organizowaniem ochotniczych

straży pożarnych, istnieje ich obecnie 333, grupujących kilka tysięcy strażaków wiejskich.

Dodajmyż, że olbrzymiej swej pracy kółka rolnicze dokonały przy niezmiernie szczupłych środkach materyalnych. Zamknięcie rachunków Zarządu głównego wykazuje 847.932 kor. subwencyi. Kółka pobierały od kraju 81.900 kor., od państwa 59.142 kor., razem 141.042 kor.

Znaczenie kółek rolniczych polega na dwuch zasadach: materyalnej i wychowawczej.

Każdy pracownik w Kółkach widzi, że praca wspólna, społeczna niesie nawet korzyści osobiste, które byłyby niemożliwe, gdyby szło się luzem, w pojedynkę. Kółka przez stosowanie zasady samopomocy społecznej i współdzielczości wydobywają wieś z nędzy ekonomicznej i wyzysku żydowskiego.

W Kółkach wychowuje się lud, wdraża do roboty publicznej, społecznej, przyzwyczaja się do sprawowania rządów. I stokroćwięcej niż wszelkie ordynacye wyborcze i wszelkie agitacye oddziaływa ta pomoc wzajemna, zasada solidarności i świadomość wspólnych interesów i wspólnej obrony.

Wychowanie Narodowe.

Nauka pisania i czytania ma być wstępem do wychowania narodowego.

Na czem polega wychowania narodowe?

Oto każdy przyszyły obywatel narodu powinien znać gruntownie nie tylko swój język, ale i przeszłość swego narodu, jak zalety i wady, tryumf i słabości.

Powinien w miarę swej inteligencyi i zamożności czynny brać 'udział w każdej pracy, której przewodniczy myśl narodowa.

Jan Jakób Rousseau, filozof francuski, jeden z najwybitniejszych umysłów stulecia zeszłego, zastanawiając się w jednem ze swych dzieł nad przyczynami wzrostu, potęgi i upadku Polski, za najpotężniejszy środek odrodzenia narodu uważał wychowanie młodzieży w duchu narodowym.

Oto jego program wychowania:

„Wychowanie powinnno nadać duszom formę narodową i tak pokierować ich upodobaniami, aby było patryotyczne ze skłonności i z konieczności.

Chciałbym, aby młody Polak, uczący się czytać wiadomości o swym kraju, w dziesiątym roku znał płody swego kraju; w dwunastym miasta jego i historyczne pamiątki — w piętnastym miał wiadomości historyi, w szesnastym roku zaznajomił się z prawodawstwem. Niech w całej przeszłości Polski niema ani jednego wzniosłego czynu, ani jednego sławnego nazwiska, któregoby nie znał i nie umiał zdać sobie sprawy“.

W dalszym ciągu tych cennych, a dziwnie trafnych uwag Rouseau wypowiada zdanie, że nauczycielami, którzyby potrafili dać młodzieży wychowanie według takiego programu, mogą oczywiście być tylko Polacy.

Myśl godna filozofa, ale zarazem tak jasna, że i prostaczek ją zrozumie.

Tymi powołanymi, choć niezawodowymi nauczycielami swego dziecka powinni być rodzice.

Szkoła w dzieciństwie, służba publiczna w dojrzałym wieku, kształcą umysł w różnorodnych kierunkach, ale formę narodową może nadać duszom młodym tylko domowe wychowanie w duchu narodowym.

Skądże zaczerpnie dziecko znajomość, poszanowanie i miłość rzeczy ojczystych, jeżeli nie w ojca i matki przykładzie?

Czytać i słyszeć jak najwięcej o rzeczach ojczystych powinien młody Polak, karmiony w szkole obcą kulturą i tresowany obcym patryotyzmem.

Jeżeli więc chcemy zachować młodzież naszą od wynarodowienia, czyńmy w naszym szczupłym zakresie to, co czyni obca szkoła na szeroką skalę: dajmy jej taki zasób wrażeń patryotycznych w nieprzerwanym szeregu — wzbudzajmy już w dzieciach ambicyę narodową, aby były patryotyczne „ze skłonności i z konieczności“.

Dzwonią...

Dzwonią...
Płynie słonko świtem
Skrzydłami złotemi,
Zorza pod błękitem,
Poranek na ziemi!
Idą od wsi echa
Idą polem, błonią...
Wstaje chłopska strzecha
Na „dzień dobry“... dzwonią!...

Dzwonią...
Sieje słonko skwarem,
Że aż dyszy gleba,
Stanęło nad jarem,
W samym środku nieba,
Stanęło jak senne
Z rozpaloną skronią...
Żórawie studzienne
Na południe... dzwonią!

Dzwonią...
Idzie słonko, schodzi
Za chmurki łabędzie!
Cień wieczorny chodzi,
Zmierzch się szary przędzie —
Gwarzą wiejskie drzewa,
Kiat oddycha wonią...
Sygnaturka śpiewa —
Na „Anioł Stróż" dzwonią!

Kazimierz Laskowski.

Na czem polega wypoczynek prawdziwy?

Różne istnieją poglądy na punkcie określenia istoty wypoczynku. Ludzie nadmiernie czynni zwą obiad jedyną chwilą wytchnienia, inni uważają za odpoczynek rozrywki sportowe, inni jeszcze teatr lub grę na fortepianie; nie brak i takich, co szukają rozrywki w kabarecie, lub chcąc umysł odświeżyć, czytają dużo w chwilach wolnych. A jednak zapatrywania takie nie są trafne, bo wypoczynek jest pojęciem odwrotnem w stosunku do znużenia.

Wobec tak postawionej kwestyi, pojęcie to musi się wiązać ściśle z pojęciem o spokoju i ciszy. Nie jest zatem spoczynkiem zmiana rodzaju pracy, t. j. przerzucenie się od jednej czynności do drugiej. Ustrój nasz, należy pamiętać, jest typowym całokształtem monarchicznym, i niema w nim autonomii takiej, dzięki której jedne jego części pozostają w nieczynności, gdy pracują drugie. W każdej, jednostronnej całkiem na pozór czynności, przyjmują udział narządy wszystkie; błądzi więc ten, kto po pracy fizycznej szuka wytchnienia w zajęciu umysłowem, kto od biurka wstaje do bilardu lub z roweru przesiada się do biurka. „Wypoczynek" taki co do wartości swej, nie może równać się z godziną, spędzoną na szeslongu, ani z przespaniem się, typowem wytchnienia uosobienim i źródłem.

Przeciętnie zdenerwowany mieszkaniec miasta, zgodnie z panującym dokoła poglądem, urządza sobie w dzień wolny, o ile jest pogoda, wycieczkę za miasto. Odbywa ją w przeładowanych, zwłaszcza w niedzielę, wagonach i wraco późno w noc, zakurzony, zirytowany, jak z krzyża zdjęty, po dniu pełnym wysiłków fizycznych i wzruszeń nie zawsze przyjemnych (zwykle też z żołądkiem popsutym lichem piwem i lichemi wiktuałami), po dniu, który miał być właśnie wytchnieniem po pracy.

Człowiek ten słyszał i czytał o pożytku dla zdrowia, wynikającym z ruchu na świeżem powietrzu, z przeróżnych sportów itd. Rusza się więc żwawo, aż do umęczenia. Niewątpliwie, ruch dobrą jest rzeczą ale w mierze. Zresztą, należy mieć na uwadze, że i w poglądach zmieniło się dziś wiele i że hygiena nowoczesna co innego dziś mówi i radzi, niż dawniej. Dawniej np. uważano jako rzecz zdrożną spoczynek po obiedzie, obecnie zaleca się tenże, jako ułatwiający trawienie.

Nauka dalej idzie jeszcze. Tym co pracują ciężej — wszystko jedno: rękoma czy głową — uczyni najlepiej pojęty w znaczeniu dosłownem wypoczynek w łóżku, w cieni, przy oknach zasłoniętych sen jak najdłuższy. Myślę, że wielu słuszność poglądu tego podziela w duchu, ale nie czyni tak pod wpływem wstydu fałszywego z obawy, by ich nie pomówiono o zniewieściałość i próżniactwo. Trzeba więc wstać, choć chciałoby się wypocząć jeszcze i... jazda na wycieczkę — pańszczyznę.

Otóż tego rodzaju „wyrzuty sumienia" są czemś przesadzonem i niepotrzebnem zupełnie. I owszem, jakieś dobre pół dnia, a nawet cały dzień spędzony w łóżku, w upatrzony ku temu dzień świąteczny, jest znakomitym czynnikiem zdrowotnym, który nic nie kosztuje, przeciwnie, może zaoszczędzić w przyszłości wydatku na lekarstwa drogie. I niema nic gorszego, jak praca, doprowadzona do granic wyczerpania sił, w tych bowiem warunkach odporność ustroju spada do zera i najmniej groźny bodziec ujemny, najlżejsze przeziębienie, infekcya najłagodniejsza, wywoła chorobę na pewno.

Nie zalecam bynajmniej spędzania wszelakich chwil wolnych w łóżku, broń Boże! Człowiek liczyć się winien z rodzajem i warunkami pracy swej, usposobieniem, zasobom zdrowia, stopniem odporności itp. Biorąc na ogół, nie wydaje mi się bynajmniej rzeczą przesadzoną zastosowanie metody, o której mowa, raz na jakieś 6 do 8 ty-



Pod lasem.

godni. U kobiet zwłaszcza, które nerwowo wyczerpują się więcej, u dziewcząt bezkrwistych kuracya taka zapewnia nader pomyślne wyniki dla zdrowia, opłaci się stokrotnie, a w każdym razie daleko więcej, niż szablonowa zabawa jakaś. Wiemy to z doświadczenia własnego, jako zabawa niejedna znudzenie daje w darze, irytacyę i rozczarowanie, maskowane wesołością całkiem pozorną tylko. Leczenie odpoczynkiem, jest rzeczą całkiem naturalną i konieczną; niema w tem nic nowego. Co rok w sanatoryach przeróżnych, niczem w karceresie, zamykają się na tygodni kilka ludzie przepracowani mniej lub więcej, bądź emigrując na wieś, by zdala od zgiełku wielkomiejskiego nerwy swe doprowadzić do względnej równowagi. Nie każdego stać, oczywiście, na pobyt w zakładzie kuracyjnym, lecz każdy ma przecie łóżko w miaszkaniu, a i zasłony dla okna. Powinien nie krępować się i odpocząć do syta. Wtedy i sanatoryum może stanie się dlań zbytecznem.

Dr. K. Niedzielski.

Co jeść latem?

Niezależnie od klimatycznych warunków danego kraju, na rodzaj odżywiania się wywierają swój wpływ doniosły i pory roku, co każdy powinien mieć na względzie, o ile z wymaganiami zdrowia swego pragnie żyć w zgodzie. Inaczej bowiem na sprawy czynnościowe ustroju działa zimno, inaczej gorąco, a jeśli dyeta mieszkańca stref podzwrotnikowych różni się zasadniczo od eskimosów strawy, nie bez słuszności wyciągnąć można stąd wnioski, że i Europejczyk w wyborze pożywienia odmiennym musi kierować się poglądem w okresie lata i zimy.

W licznym szeregu rzeczy jadalnych odróżniamy, jak to wiadomo powszechnie, pokarmy obfitujące w białko i ubogie w ten składnik, innemi słowy dyetę mięsną (zwierzęcą) i roślinną. Gdy mieszkańcy stron zimnych pierwszej trzymają się przeważnie, w krainach upalnych rozpo-

wszechniona jest druga; gdy Grenlandczyk żywi się wyłącznie niemal tłuszczem wieloryba lub foki i mięsem renifera, Malajczyk dajmy na to, poza owocami i ryżem, mało co jada więcej. Ta zależność sposobu odżywiania się od klimatu zewnętrznego nie jest bynajmniej wynikiem kultury swoistej lub uświęconego tradycyą zwyczaju; przyczyna tkwi w samej organizacyi człowieka, zmuszonego poddawać się wpływom przyrody i w takiej nawet, jak dobór pokarmów, sprawie. Lecz wpływy te nie ograniczają się przecie sferą lodowców podbiegunowych, bądź puszcz równika; w zmienionej postaci swej i napięciu występują i w innych globu naszego częściach; wszędzie, gdzie stwierdza się wahania ciepłoty, gdzie zima i lato idą po sobie naprzemian.

Odbywającą się w ustroju naszym przemianę materyi słusznie porównać można z procesem palenia. W obu powstaje ciepło, w obu ciepło to uchodzi na zewnątrz; więc, by utrzymać je w ilości niezbędnej, organizm wymaga pożywienia nowego, który jest głównym czynnikiem wytwarzania się ciepła.

Dalej pamiętać należy, że ilość utraconego przez ustrój ludzki cieplika zależną bywa przedewszystkiem od stanu temperatury powietrza. Porą zimową, gdy ochłodzenie ciała następuje prędzej, ten ubytek cieplika prędzej wyrównywać wypadnie i dlatego też jeść trzeba wówczas więcej wobec znaczniejszego wyczerpania sił na skutek zimna. Podczas upałów zato ciepła ubywa mniej, wzmaga się wydzielanie potu, człowiek odczuwa mniejszą potrzebę jedzenia, większą do picia skłonność. Nieracyonalnie zatem postępują tacy, którzy ilość i rodzaj dań, spożywanych w zimie, utrzymują i latem bez zmiany, obciążając całkiem zbytecznie swój żołądek, zaczem idzie wzmożenie i tak dokuczliwego pragnienia. Niedomaganie ogólne, gorączka, zmniejszona na zarazki odporność, choroby zakaźne żołądka i kiszek, to rzeczy dobrze znane i częste u osób, nie rachujących się z wymaganiami dyety letniej.

Za wzór służyć tu powinny ludy południa, które wogóle do klimatycznych warunków lepiej umieją się przystosować, niż mieszkańcy naszych umiarkowanych stref. Południowiec przeciętny (Włoch, Hiszpan czy Turek) jada dwa razy na dzień, nie pomijając pewnej ilości mięsa, używa przeważnie strawy roślinnej, owoców, nabiału i pieczywa. W bogatszych domach obiad składa się tam z szeregu doprawianych najrozmaiciej jarzyn i zielenizny; uboższym wystarcza ryż, ryba, makaron i mleko. Że dyeta taka nie wycieńcza wcale, że utrzymuje ludzi przy sile i zdrowiu, mamy na to dowodów wiele na świecie. Czyny wojenne Japończyków, ryżem przeważnie odżywiających się, wzbudziły niedawno podziw ogólny. Wytrwałość żołnierzy tureckich, siła fizyczna Arabów, pracowitość i żelazne zdrowie Chińczyka są rzeczą znaną, a jednak ludy te właściwie do wegetaryanów zaliczone być winny, tak rzadko jadają mięso i w tak niewielkiej ilości.

Gdy latem temperatura stref naszych przypomina poniekąd klimat południa, do „południowego“ trybu życia przyzwyczajać się nam wypadnie.. Hygiena uczy, iż w porze tej mięsa należy jeść mało, a lepiej jeszcze nie jadać go codzień. Dla mieszkańca Europy środkowej ów rozbrat czasowy z mięsem, które stanowi główny punkt obiadu i przyjęć wogóle, może być rzeczą przykrą i niełatwą do przeprowadzenia w praktyce, z przykrością tą jednak winniśmy zmagać się w interesie zdrowia własnego; ci zresztą, których stać na to, niechaj drób jedzą, od wołowiny mniej szkodliwy w upały. Natomiast poleca się bardzo owoce świeże, sałatę, rzodkiew, szpinak, marchew, chleb biały, jaja i mleko zsiadłe, zwłaszcza z małą domieszką cukru.

Nie należy też jadać potraw zbyt gorących, lecz chłodne; mrożonych unikać również lub, co najmniej, przyjmować je oględnie. Kawa, piwo, wino, wódka i tytoń, przyprawy ostre i sosy tłuste również zaliczają się do odpowiednich na lato artykułów spożywczych; dodatki te, wywołując w jamie ustnej, na podniebieniu i w gardzieli suchość śluzówek, zwiększają tylko niepotrzebnie uczucie pragnienia. Woda świeża i czysta bywa tu napojem najlepszym; osoby, nie gustujące w samej wodzie jedynie, mogą dolewać doń soku z owoców lub popijać maślankę, przyczem nie należy używać płynów zbyt często i niezbyt obficie; pragnienie nadmierne można ugasić zresztą dokonywanem od czasu do czasu płukaniem ust i gardła lub zanurzaniem twarzy w wodzie zimnej.

Dr. K. Niedzielski.

Człowiek i przyroda.

Człowiek nietylko że żyje pośród wielkiego i niezmierzonego świata przyrody, ale sam jest cząstką świata przyrody, stworzonego przez Boga. Człowiek ulega prawom niezłomnym przyrody. Na człowieka z zewnątrz działają siła i prawa przyrodzone, w organizmie człowieka odbywają się ciągłe zmiany, choć napozór niewidoczne,



'Miłosny szept.

a zmiany te wypływają z nieustających nigdy sił i praw przyrody, których nikt i nigdy w swej istocie przewidzieć nie może.

Sile przyrody może tylko przeciwdziałać inna siła przyrody, umiejętnie wyzyskana najczęściej przez człowieka. Wszystko, co człowiek zrobił na tym świecie, a co widzimy i czujemy za pomocą zmysłów, co ma kształty i pewną formę materyalną, nie mógł człowiek inaczej zrobić, jak tylko biorąc materyał z otaczającej go przyrody i stosując instynktownie lub ze zrozumieniem istniejące siły, tak zwane prawa i własności przyrody, wyzyskując zmianę form na swoją korzyść. Do zrobienia domu, odzieży, środków komuni-

kacyi, do wszystkiego, co potrzymuje nasze życie i ułatwia je nam, musimy brać materyał z otaczającego nas świata, zużytkować jego własności, stosować siły i prawa przyrody, dokoła nas i na nas samych działające. Prawa regulujące stosunki między ludźmi i ułożone przez ludzi, choć muszą być oparte na podstawie przyrodzonych własności człowieka, lecz ulegają ciągłym zmianom i nie zawsze jednakowo bywają stosowane. Siły i prawa przyrody spotykamy zawsze treści jednakowej. Przyczyny i skutki spotykamy w przyrodzie zawsze niezmienne. Od człowieka tylko zależy obrócić je na swoją korzyść, lub zwrócić ich działanie w innym kierunku. Światło, ciepło, łączenie się różnych soli, gazów i płynów, wszelkie zmiany w organizmach, siła elektryczna, oparte są, jako siły przyrody, na pewnych określonych powtarzających się prawach, wywołują zawsze skutki, powstają zawsze z przyczyn, które poznać należy.

Cały postęp, dążący do ułatwienia życia ludziom, oparty jest na badaniu i wyzyskaniu sił przyrody, wielkiej jej nieustającej pracy, której w żaden sposób wstrzymać nie możemy, możemy tylko przez umiejętne stosowanie na swoją korzyść obrócić. A więc ponieważ człowiek podlega siłom i prawom przyrody jest jej częścią, powinien ją zawsze badać i siły jej na swój pożytek obracać. W każdym najmniejszym przejawie życia badać przyczyny i wypływające stąd skutki. Badać przyrodzone prawa człowieka i świata, własności wszystkiego, co nas otacza. Nic bez przyczyny się nie dzieje i bez przyczyny nie ulega zmianom.

Alchemia.

Alchemia, wyraz z arabskiego wzięty, używany był w wiekach średnich w znaczeniu Chemia. W alchemii szło głównie o wykrycie sposobu, za pomocą którego możnaby pospolite metale zamieniać na złoto i srebro. Początkowe ślady alchemii, znajdujemy jeszcze u Egipcyan, których król Hermes poczytywany był przez samych alchemików za pierwszego twórcę tej umiejętności. Król ten jednak miał tajemnicę unieść z sobą do grobu, i ta dopiero, kiedy Aleksander Wielki grób jego otworzyć kazał, udzielona została światu. Utrzymują, że wyrytą była na tablicy szmaragdowej; pismo zaś to doszło do nas w tłomaczeniu łacińskiem. Tak jednak jest niejasne i trudne do zrozumienia, że pozostawia w niepewności, czy autor chciał tylko tajemniczością osłonić swoją zupełną nieświadomość, czy też rzeczywiście posiadaną tajemnicę chciał odkryć tylko bardzo przenikliwemu badaczowi. Wszelako alchemicy wszystkich czasów twierdzili, że przez odgadnięcie tego pisma można zostać panem tajemnicy.

W pierwszych wiekach naszej ery, alchemia utrzymywała się tylko na Wschodzie i dopiero w X. wieku z Hiszpanii, gdzie ją wnieśli Arabowie, rozszerzyła się do reszty Europy. Z upływem czasu ukształciła się na wynalezieniu kamienia mądrości czyli wielkiego i małego eliksiru do robienia złota i srebra, który zarazem miał mieć siłę przedłużania życia ludzkiego. Ci co się zajmowali poszukiwaniem kamienia mądrości, zwali się alchemikami, ci zaś, którzy posiadali tajemnicę, czyli raczej którzy twierdzili, że ją posiadają — adeptami. Najsłynniejszymi z adeptów byli Paracelsus i van Helmont.

Lecz nietylko sami adeptowie i alchemicy oddawali się alchemii, nawet książęta i głowy koronowane zajmowały się nią pilnie, jak Henryk VI król angielski, Jan margrabia brandenburski a nadewszystko cesarz niemiecki Rudolf II i Zygmunt III król polski. W roku 1704 pewien aptekarz Boettger, zobowiązał się kontraktem względem elektora saskiego zarazem króla polskiego Augusta mocnego, który także zajmował się alchemią, utworzyć złoto sposobem alchemicznym, lecz gdy tego dokazać nie mógł, uniknął gniewu elektora przez to tylko, że przypadkowo odkrył sztukę robienia białej porcelany, albowiem na ważności tego wynalazku, zaraz się poznano. Innym alchemikom nie powiodło się tak szczęśliwie i niektórzy doznali srogiego obejścia ze strony zawiedzonych w swych nadziejach książąt, a tych którym udało się sztucznie w błąd wprowadzić, nieraz dręczono i brano na tortury dla zmuszenia ich do odkrycia mniemanej tajemnicy.

Pomimo licznych usiłowań przez ciąg 200 lat kamień mądrości nie został wynaleziony. Wprawdzie alchemicy przywodzili liczne przykłady utworzenia złota, wszystkie jednak te fakta okazały się albo złudzeniem albo oszustwem. Pod względem zaś skuteczności tynktury alchemicznej przedłużenia życia ludzkiego, przytaczano przykłady: iż niejaki Salomon Trimasin, opowiadał o sobie, że za pomocą jednego gramu tynktury, odmłodził się zupełnie i utrzymywał, że tym sposobem pozostać może przy życiu aż do sądu ostatecznego. Jakiś znowu alchemik w XII wieku zapewniał, że z powodu używania tynktury żył już lat tysiąc. Widzimy więc, że humbug czyli sztuka durzenia



Konie u źródła

ludzi, nie jest wynalazkiem tylko najnowszych czasów.

Oprócz ważnego wynalazku robienia porcelany, zawdzięczamy jeszcze alchemii wiele innych ważnych odkryć i preparatów, które przypadkowo dostały się do tygla laborantów i wyświadczyły ważne usługi technologii, przemysłowi, farmacyi i można powiedzieć, że alchemia położyła podstawę, na której wzniesioną została wspaniała budowa prawdziwej chemii.

Na zapytanie o prawdopodobieństwie poszukiwań alchemicznych, teraźniejsza nauka odpowiada, że ponieważ złoto i srebro są ciałami prostemi, niezłożonemi pierwiastkami, więc ze składu ciał nie zawierających w sobie tych metali, utworzone być nie mogą. Co zaś do możności wynalezienia eliksiru odmładzającego, czyż można coś podobnego przypuścić? Duch tylko ożywiający nas jest nieśmiertelnym, ciało znikome z prochu powstało, w proch się rozsypie. Dla tego też im człowiek starszy, tem ciało jego słabsze, ale duch ożywiający jest coraz mędrszy i doskonalszy, bo gdy ciało dąży ku ziemi, duch wspina się ku niebiosom, ku Bogu, którego jest tchnieniem.

Kobieta w masce.

(Z dawnych kronik florenckich).

W powabnej dolinie zwanej ogrodem Toskanii, wznosi się miasto, które otrzymało nazwę „kwiatu“ i samo jest pysznym kwiatem, rozkwitłym w złotych promieniach włoskiego słońca. Tem miastem jest Florencya, zwana w Italii „la bella“.

Tam w epoce Medycyuszów, żyła Rosaura Montalboni, kobieta tak wielkiej urody, że od czasów sławnej Heleny greckiej, świat piękniejszej nie widział niewiasty. Był to cud natury tak doskonały, że najsurowszy krytyk nic nie mógłby jej zarzucić.

W epoce odrodzenia, kiedy Florencya posiadała moc znakomitych artystów, żaden malarz nie odważył się przenieść jej rysów na płótno, żaden rzeźbiarz nie śmiał zakląć w bronz lub marmur przedziwnych jej kształtów, wszyscy przyznawali, że to było zadanie nad siły.

Najurodziwsze kobiety florenckie wyglądały przy niej jak służebnice przy królowej, gasły jak świeczki przy słońcu. O współzawodnictwie nie mogło być nawet mowy.

Jeżeli zjawiła się w kościele — ludzie przestawali się modlić i zamiast na ołtarz, patrzeli w nią, jak w tęczę. Ile razy wychodziła na ulicę, otaczał ją tłum mężczyzn, którzy z uwielbieniem śledzili każdy jej ruch, każdą linię jej ciała. Jeżeli weszła do sklepu bławatnego, kupiec rozkładał przed nią najpiękniejsze atłasy i aksamity, najdroższe brokatele i złotogłowia nigdy nie chcąc przyjąć od niej pieniędzy. Było to dość szczęścia i zaszczytu, że raczyła wybrać coś w jego sklepie.

Uśmiech jej i spojrzenie ceniono wyżej, niż złoto. Cała młodzież florencka przykuta była do zwycięskiego jej rydwanu. Co dzień znoszono do jej pałacu najkosztowniejsze podarunki, co noc pod jej oknami śpiewały wiole, brząkały mandoliny i dźwięczne głosy męskie nuciły miłosne pieśni. Rosaura przyjmowała wszystko, nic w zamian nie dając, miała w piersi kamień zamiast serca i z szyderczem uśmiechem patrzała na katusze swoich niezliczonych kochanków — żaden nie mógł wyżebrać u niej miłości. Lubiła rozbudzać w nich zazdrość, a okrucieństwo jej nie miało granic.

Kiedy głód nawiedził Toskanię ludzie błąkali się po ulicach, jak cienie, słaniając się z osłabienia. Rosaurze nie przysło nawet na myśl posłać im kęsa chleba. Nie zmieniając sposobu życia, po dawnemu kąpała się w mleku, jadała najwymyślniejsze przysmaki, spijała najkosztowniejsze wina. — Podczas rozruchów w mieście, lud rozjątrzany jej zbytkami i samolubstwem, wpadł do pałacu, żeby ją zabić. Wyszła dumna, spokojna, uśmiechnięta i znowu nieporównana jej piękność odniosła zwycięstwo; napastnicy na jej widok stanęli jak wryci, noże wypadły im z ręki, serca dyszące przedtem zemstą i nienawiścią, zadrgały uwielbieniem, o mało nie padli przed nią na kolana.

Wśród niezliczonych wil, rozrzuconych na stokach górskich, albo w uroczych dolinach apenińskich, kędy z nastaniem upałów letnich chronili się patrycyusze florenccy, willa Rosaury była najpiękniejsza, miała najkosztowniejsze sprzęty, wykładane różnobarwnem drzewem zamorskiem, stoły mozaikowe, godne zamków królewskich, na ścianach szpalery flandryjskie, tkane z najprzedniejszej wełny, jedwabin złotych i srebrnych nici, obrazy i posągi najpierwszych mistrzów, a wszędzie w majolikowych czarach, w tęczowych kielichach z weneckiego szkła, w kosztownych wazonach z bronzu i marmuru — najrzadsze kwiaty. Nic nie było dla niej zbyt drogie, ani zbyt piękne. W pół roku potrafiła zrujnować najbogatszego człowieka.

Trudno zliczyć, ilu samobójstw — pojedynków i krwawych bójek stała się przyczyną; matki



Bezpieczna przeprawa.

dorosłych synów bladły, słysząc o niej, żony truchlały o mężów, — Tysiące ludzi przeklinało ją. Stawiono ją nawet przed sądem, ale została uniewinniona: piękność jej byłały rozbroiła najsurowszych sędziów i oskarżycieli. Rozzuchwalona, nie znała już potem miary w zbytkach i okrucieństwie; deptać po sercach ludzkich, to była dla niej największa rozkosz.

Coraz liczniejsze skargi zrozpaczonych żon i matek zaczęły napływać do księcia, aż wreszcie zaniepokojony książę kazał przedstawić sobie wszystkie dowody winy Rosaury i przeraził się, kiedy mu pokazano długi szereg nazwisk jej ofiar: były między niemi imiona z najpierwszych rodzin florenckich, młodzieniaszki, starcy i mężowie dojrzali. Pastanowił osądzić ją sam, lękał się bowiem, żeby nieprzeparty urok tej syreny nie zmiękczył znowu sędziów i nie przeszkodził wymiarowi sprawiedliwości.

Rosaura weszła z rozjaśnioną twarzą, strojna, utrefniona, ufna w niezawodną siłę swoich wdzięków, ale zawiodła się tym razem: książę nie podniósł oczu na nią. Rozumiał, że obowiązkiem jego, jako ojca narodu, jest uwolnić go od tej

złowrogiej kobiety i oparł się pokusie spojrzenia na czarodziejkę. Wyrok wypadł surowy: 20 lat więzienia z obostrzeniem, że przez ten czas nie będzie wolno jej zdjąć maski. Książę obawiał się, żeby dozorcy rozbrojeni jej pięknością, nie otworzyli przed nią wrót więziennych. Kat miał ją napiętnować, a potem włożyć jej maskę, żeby nikogo nie mogła już oczarować, ale kiedy przystąpił do niej z rozpalonem żelażem i obnażywszy jej ramię, ujrzał cudne, jakby z alabastru wykute kształty, zabrakło mu odwagi — cisnął daleko od siebie rozżarzone żelazo i złożył ręce z zachwytu. Książę wtedy zszedł z tronu i sam włożył maskę Rosaurze, zakrywając oblicze, które stało się przyczyną tylu nieszczęść i cierpień.

Jeszcze chwila, a wszyscy obecni byliby go na kolanach błagali o przebaczenie dla pięknej grzesznicy.

Odtąd słuch zaginął o Rosaurze. Florencya odetchnęła.

Kiedy upłynął termin jej kary, przypomniano sobie o niej i wyprowadziwszy z więzienia, zdjęto jej maskę. Można było uczynić to bezkarnie: twarz najpiękniejszej niegdyś kobiety w świecie była tak zmieniona, że mogła tylko straszyć ludzi. Rosaura domyśliła się tego i pochwyciwszy maskę włożyła ją napowrót — odtąd już nigdy jej nie zdjęła. Usunąwszy się w zacisze klasztorne, wiodła tam żywot pokutniczy i przed śmiercią prosiła, jak o najwyższą łaskę, żeby pochowano ją w masce.

Zapiski umierającego.

Dowód niezwykle zimnej krwi, a nawet wprost bohaterstwa, złożył porucznik marynarki japońskiej, dowodzący łodzią podwodną, która zatonęła przed paru tygodniami z całą załogą w zatoce Hirossima. Japońskie okręty wojenne dobyły onegdaj z dna morskiego ową łódź zatopioną. Przy oględzinach jej znaleziono na stole, otoczonym zwłokami załogi, raport szczegółowy jej dowódcy o wypadku, skutkiem którego mechanizm łodzi odmówił nagle posłuszeństwa oraz o środkach, zastosowanych przez załogę w celu podźwignięcia łodzi. Umierający dowódzca wyraża dalej żal głęboki z powodu utraty statku oraz śmierci załogi, której męztwo, poświęcenie i odwagę wychwala gorącemi słowy. W zakończeniu raportu porucznik oświadcza, że czuje zbliżającą się śmierć z uduszenia i prosi cesarza w imieniu umierających towarzyszy o zajęcie się losem ich rodzin.

Największa restauracya na świecie.

Największym restauratorem jest Józef Lyons w Londynie. Zatrudnia on w swym interesie 10.000 kucharzy, piekarzy, kuchcików i kelnerów; serwisy jego liczą 30.000 talerzy i 50.000 filiżanek w najróżniejszych kolorach i formach; bielizna stołowa tworzy całe góry, dniem i nocą wypieka ośm olbrzymich pieców chleb i bułki. Do kuchni zabijają stada wołów, świń i cieląt; masła zużywa się 30 000 kilogramów na tydzień, owoce i jarzyny przychodzą wagonami. Ostatniem występem Lyonsa był obiad, urządzony przez niego z okazyi jubileuszu uniwersytetu w Aberden, dla 2500 uczestników, dla których dostarczyła restauracya Lyonsa 90 żółwi, 220 udźców baranich, 1200 kuropatw, 200 kotletów, 2500 przepiórek, 500 kapłonów, 1200 gruszek, 350 melonów, 1600 brzoskwiń i 6500 funtów winogron; serwis wynosił 4000 srebrnych talerzy, 50 000 kilogramów porcelany i szkła. Zapasy te dostawiono do Aberden specyalnym pociągiem, a gości obsługiwało 750 kelnerów.

Nasze ilustracye.

Pod lasem. Obrazek typowo polski. Leśniczy zatrzymał pod lasem wóz naładowany drzewem. Może to drzewo skradzione przez gospodarza, zawistnie patrzącego na własność pańską? — Lecz nie. Właściciel zaprzęgu pokazuje leśniczemu na piśmie, że ma ze dworu pozwolenie; — wkrótce ruszy spokojnie w dalszą drogę.

Miłosny szept. Ładna ona i hoża ta dziewoja. Niejeden zapewne parobczak smali do niej koperczaki, a w sercu jej budzą się miłosne marzenia. Otóż marzenia te przedstawia malarz jako skrzydlatego, figlarnego Amorka, bożka miłości, szepczącego do uszka dziewczynie.

Konie u źródła. Szlachetnej, widać, rasy są zwierzęta, których głowy nad źródłem przedstawia nam malarz. Jedne konie piją jeszcze ożywczy, chłodny napój, drugie ugasiły już pragnienie. Skorzystają zapewne ze sposobności i pohasają wesoło na podwórzu, wydobywszy się z ciasnej stajni.

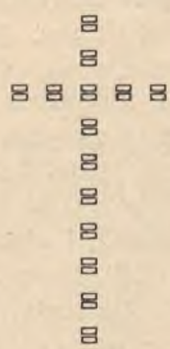
Bezpieczna przeprawa. Chwile takie, jaką przedstawia nasz obrazek bywają bezpieczne — dla zgrabnej nóżki strojnej damy, lecz zapewne nie dla jej serduszka. Młodzieniec przeprowadzi swą towarzyszkę zapewne suchą nogą przez kamienie w strumyku, lecz jako zapłatę zabierze jej serce.

DLA ROZRYWKI

Niesumienny jubiler.

Jubilerowi dano do naprawy kilkanaście drogich kamieni w kształcie krzyża, z tym warunkiem, ażeby we wszystkich trzech kierunkach, licząc od dołu, liczba kamieni była jednakowa. Dano mu wzór, jak na fig. 1.





W kierunkach COB i COD liczba kamieni wynosiła po 10. Niesumieny jubiler ukradł dwa kamienie B i D. Kamień A przełożył na spód krzyża i tym sposobem oddał po wykończeniu krzyż, w którym rachuba kamieni we wszystkich trzech kierunkach pozostała bez zmiany, jak to objaśnia fig. 2.

Ten sam figiel można wykonać i przy innej zadanej liczbie kamieni, byleby ich było do pary. Jubiler może sobie przywłaszczyć 2, 4, niech tylko przenosi 2 i 4 do dołu, to liczba kamieni we wszystkich kierunkach pozostanie jednakową.

Mowa kwiatów.

Symboliczne znaczenie kwiatów i minerałów, a zwłaszcza kamieni drogocennych, tak dobrze jak znaki, dawane wachlarzem, dla porozumienia slę z miłym sercu lub niesympatycznym młodzieńcem, przydać się może niekiedy naszym paniom w ich życiu towarzyskiem. Z całego szeregu słów, stanowiących mowę kwiatów, wybieramy w tym celu następujące:

Lak	oznaczają	towarzystwo,
Stokrotek	„	niepewność,
Wino dzikie	oznacz.	czczość,
Werbena	„	kokieteryę,
Trawka Włoska	„	apatyę,
Tykwa	„	oziębłość,
Tea	„	udanie,
Ślaz	„	przesyt,
Złotokwiat	„	znajomość,
Skabioza	„	smutek,
Gorginia	„	piękność dojrzałą,
Bez	„	zaufanie,
Mlecz	„	złudzenie,
Tatarak	„	ulgę,
Mięta	„	nieporozumienie
Palma	„	spełnienie życzeń,
Piołun	„	gorycz,
Ruta	„	rozczarowanie,
Dzwonki	„	wesołość,
Bratki	„	przyjaźń,
Powój	„	wytrwałość,
Rezeda	„	sympatyę,
Kaktus	„	szczęście i zadowolenie

choćby chwilowe, którego czytelnikom z całego serca życzymy.

Jechałem kiedyś do Poznania i spotkałem na drodze 10-ciu chłopów. Każdy niósł worek, a w każdym worku prosię. Ile istot żyjących szło do Poznania?

Odpowiedź. Ja sam, bo tamci szli z Poznania.

Suma pięciu liczb.

Powiedz, że z góry określisz sumę pięciu liczb zadanych, znając tylko jedną. Dodaj, że liczby muszą składać się z czterech cyfr n. p. 4568.

Tą jedną, z pierwszych liczb zadanych, niech będzie 7618. Odejmij 2 od liczby jednostek 8, pozostanie ci 7616; napisz 2 przed tą cyfrą, a będziesz miał 27616; będzie to suma pięciu liczb nieznanych. Cyfrę 27616 napisz na papierze i schowaj. Teraz poproś o drugą liczbę i niech nią będzie

np. 3675; mając dwie liczby, powinieneś sam napisać cztery następne cyfry z możliwym pospiechem. W tym celu do liczby 3675 dodaj w myśli takie cztery cyfry, z któremi dałaby w sumie 9999, a więc 6324; będzie to trzecia liczba żądana. Poproś następnie o czwartą liczbę i uzupełnij szereg liczb w podany sposób.

Przykład:

1) . . . 7618
2) . . . 3675
3) . . . 6324
4) . . . 5143
5) . . . 4856

Suma 27616

Pokaż teraz kartkę schowaną. Efekt będzie niezawodny.

Łamigłówki.

Logogryf:

Z sylab: nicz—as—so—ko—biał—o—ża—a—zaw ki—kloc—cław—za—a—cuch—san—wo—niec—za wro—bie—raj—o—na—łań—ret—dia—nas—i płan—e—źbie—na—na—ka—ski—el—ta—ró—la ułożyć 18 wyrazów, których litery początkowe tworzą imię i nazwisko malarza polskiego z XVIII wieku a końcowe imię i nazwisko bajkopisarza polskiego.

Znaczenie wyrazów:

1. Figura w kartach.
2. Dom przeznaczony dla chorych.
3. Imię żeńskie.
4. Inaczej duchowny.
5. Pogromca Turków pod Wiedniem.
6. Owoc południowy.
7. Słowo zbiorowe dla mleka, masła itp.
8. Bogini polowania.
9. Imię biblijne.
10. Ogród znany z biblii.
11. Miejsce wypoczynku na pustyni.
12. Przedmiot używany przy modlitwie.
13. Rzecz służąca do wiązania.
14. Organ wzroku.
15. Miasto na Śląsku.
16. Rzecz służąca zimą do jazdy.
17. Kawał drzewa.
18. Kąpiele w Galicyi.

Zadanie rachunkowe.

Ojciec ma 59 lat, a syn 13, za ile lat ojciec będzie trzy razy starszy od syna?

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 7. bm. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 29.

Rozwiązania

łamigłówek zamieszczonych w nr. 24.:

I. **oko-lica.**

II. **ser-ce.**

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Ludwika Bojukowa, Konstanty Cały, *Michał Chciuk*, Jan Czader, Marya Dręgowska, *Marya Dunicz*, Zofia Halewska, Franciszek Kądziela, Stanisław Karaś, Henryk Królicki, Rormuald Kulczycki, Józef Majgier, Ludwik Mazur, Helena Michalikówna, Joanna Mroczkowska, Antoni Opidowicz, ks. Wincenty Osikowski, Józef Pieszczoch, Ludwik Rola, Stanisław Sierosławski J. Steindl, Piotr Stolarzewicz. A. Świerkosz, Franciszek Szewczyk, Anna Wełnianka, T. Weseli.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska.

pp. Stanisława Balcerska, Józef Bilski, „Błędne Koło", A. Ciesierski, Janina Cieszyńska, Stefania Dużyńska, Franciszek Dylong, Andrzej Gonik, Ewa Grochowska, „Janek z pod Góry Przemysława", Halina Jordanówna, Bazyli Kasyna, Walenty Kolonko, Marya Konopińska, Helena Kornaszewska, A. Kujawski, *Marya Kulińska*, I. Kuntze, Stefania Łazarewiczówna, Janina Lesicka, Prakseda Malinowska, Stanisław Markowiak, Antoni Mikołajczak, Felicja Nawrocka, I. Olejniczak, Franciszek Rącoszek, Czesława Skalska, Jadwiga Spychalska, Zofia Starkówna, Zofia Wachowska, P. Woźniak, *Oleńka Żurkowska.*

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Czesław Adamczewski z Hali n/S., Hieronim Jaworowski z Drezna, Władysław Muth z Karlshorst pod Berlinem, Tadeusz Spitzer z Wiednia, Władysław Sokołowski z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium, Walerya Vogtowa z Wattenscheid (Westfalia).

Nagrodę otrzymali:

Marya Dunicz (Milatyn Stary-Galicya), Michał Chciuk (Drohobycz-Galicya), Marya Kulińska (Weicow-Dolne Łużyce), Oleńka Żurkowska (Poznań).

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

— Patrzcie! panowie! Czołga się tam koło przejazdu.

Rzuciłem się w tę stronę. Za mną poszli moi towarzysze, właściwie towarzysz tylko, gdyż Massol odrazu wyprzedził nas znacznie. Szybkość jego biegu dorównywała jego sile. W parę minut przestrzeń pomiędzy nim a zbiegiem zmniejszyła się widocznie. Arseniusz Lupin spostrzegł, że jest ścigany. Przeskoczył płot, skręcił na małą pochyłość i wspinał się po niej szybko.

Nie traciliśmy go z oczu: wpadł do lasku.

Massol czekał na nas. Nie chciał się zapuszczać pomiędzy drzewa, z obawy byśmy się nie zgubili.

— Można panu powinszować, kochany panie — zwróciłem się do niego. — Po takim pościgu nasz zbieg goni ostatkami sił. Mamy go!

Badałem okolicę, rozmyślając nad tem, jak się spotkać ze złodziejem bez świadków. Chciałem odzyskać swą własność, nie udając się do pośrednictwa sprawiedliwości, która, niewątpliwie, zaczęłaby od pytań bardzo nieprzyjemnych. Po chwili zbliżyłem się do mych towarzyszy.

— Słuchajcie, panowie. Sprawa jest dosyć łatwa. Pan, panie Massol staniesz na lewo, a pan, panie Delivet na prawo. Ztąd będziecie mogli czuwać nad całą linią lasku. Nie zdoła wyjść niepostrzeżnie, chyba przez ten wąwóz, gdzie ja się ukryję. Jeżeli każe czekać na siebie zbyt długo, pójdę wąwozem i wypłoszę go z kryjówki. Musicie wciąż uważać bacznie. A, prawda, zapomniałem, w razie najmniejszego niebezpieczeństwa wystrzelę.

Massol i Delivet udali się na swe stanowiska. Zaledwie znikli wszedłem do lasku, zachowując jaknajwiększą ostrożność, aby mnie zbieg nie spostrzegł, nie usłyszał. Były to gąszcze zbite, oszczędzane dla polowania, tu i owdzie poprzerzynane wąskiemi ścieżkami. Szedłem pod zielonem sklepieniem zgięty we dwoje.

Jedna taka ścieżyna wychodziła na małą polankę. Na wilgotnej trawie zauważyłem ślady kroków. Poszedłem w ich kierunku, przesuwając się jaknajostrożniej przez gęstwinę. Doprowadziły mnie do stóp małego pagórka, nad którym wznosił się jakiś budynek, już napół w gruzach.

— Tam być musi! — pomyślałem. — Obserwatoryum doskonale.

Wdrapałem się do samego prawie budynku. Lekki szmer upewnił mnie, że przypuszczenia moje były słuszne. Istotnie dojrzałem łotra przez szparę. Stał obrócony plecami do ściany. Dwa skoki i wpadłem na niego. Próbował celować z rewolweru, który miał w ręku. Nie zdążył. Powaliłem go w taki sposób, że obie ręce znalazły się pod nim, zgięte, obezwładnione. Kolanem przygniotłem mu piersi.

— Słuchaj mały — szepnąłem mu do ucha. — Jestem Arseniusz Lupin. Oddasz natychmiast, dobrowolnie mój pugilares i torebkę tamtej pani... wzamian za to, wyswobodzę cię ze szponów policyi i zaliczę cię w poczet swych przyjaciół. Tak, czy nie?

— Tak — mruknął.

— Tem lepiej. Dzisiejszą sprawę obmyśliłeś znakomicie. Sądzę, że... będziemy się mogli porozumieć.

Powstałem z ziemi. Zaczął szukać w kieszeni. Wyciągnął nóż i chciał się na mnie rzucić.

— Idyota — zawołałem.

Jedną ręką odparłem uderzenie. Drugą wymierzyłem cios potężny w arteryę główną. Upadł, bez sił!

Odnalazłem wszystkie swe papiery, i bilety bankowe. Przez ciekawość zajrzałem do jego pugilaresu. Na kopercie wyczytałem nazwisko: Piotr Oufrey.

Zadrżałem. Piotr Oufrey, morderca z ulicy Lafontaine, z Auteuil! Piotr Oufrey, który zamordował panią Delbois z dwiema córkami. Pochyliłem się nad nim. Tak, była to ta sama twarz... już w wagonie obudziła we mnie niejasne wspomnienie rysów niegdyś oglądanych.

Lecz czas upływał. Włożyłem do koperty dwa stufrankowe banknoty z kartką, na której napisałem: „Arseniusz Lupin zacnym kolegom Honoriuszowi Massol i Gastonowi Delivet w dowód wdzięczności". Kopertę położyłem na miejscu najwidoczniejszem, obok torebki Renaud. Czyż mogłem jej nie zwrócić zacnej przyjaciółce, która mnie podtrzymała tak dzielnie. Wyznaję wszelako, że wyjąłem ztamtąd wszystko, co mogło przedstawiać jakąkolwiek wartość. Zostawiłem tylko grzebień szyldkretowy, laseczkę różu Dorin do malowania ust i pustą portmonetkę.

Do dyabła! Interes interesem. Zresztą mąż jej uprawiał tak mało zaszczytne rzemiosło!...

Pozostawał złoczyńca. Poruszył się lekko. Co miałem z nim zrobić? Nie do mnie należało wydawać nań wyrok, ani go ratować.

Odebrałem mu rewolwer i wystrzeliłem w powietrze.

Agenci nadbiegną lada chwila — pomyślałem — niech sobie dają radę. Stanie się, jak chce przeznaczenie.

Pobiegłem pędem, drogą prowadzącą przez wąwóz.

We dwadzieścia minut później boczną dróżyną, którą zauważyłem jeszcze podczas pogoni, dopadłem samochodu.

O czwartej zatelegrafowałem do Rouen do przyjaciół, że wypadek niespodziewany zmusza mnie do odłożenia wizyty. Mówiąc między nami obawiam się mocno, że będę zmuszony odłożyć ją do nieskończoności. Za dużo wiedzą. Jakież to straszne dla nich rozczarowanie!

O godzinie szóstej wracałem do Paryża przez Ile-Adam, Enghien i bramę Bineau.

Dzienniki wieczorne doniosły, że Piotr Oufrey został ujęty.

Nazajutrz — nie trzeba nigdy lekceważyć korzyści, płynących z umiejętnej reklamy „Echo de France“ podało następującą sensacyjną wzmiankę:

„Wczoraj, w okolicach Buchy, po licznych przygodach, Arseniusz Lupin dokonał uwięzienia Piotra Oufry. Morderca z ulicy Lafontaine ograbił w wagonie — na linii Paryż—Havre — panią Renaud, żonę wicedyrektora wydziału karnego. Arseniusz Lupin zwrócił pani Renaud torebkę z klejnotami i hojnie wynagrodził agentów policyjnych, którzy mu w tym dramatycznym pościgu dopomagali“.

Naszyjnik królowej.

Tylko dwa lub trzy razy do roku i to na wielkie uroczystości, jak np. bale, dawane w ambasadzie austryackiej, lub wieczory u lady Billinstone, hrabina de Dreux-Soubise kładła na biały przepyszny gors „Naszyjnik królowej“.

Był to ten sam legendowy naszyjnik, przeznaczony przez złotników królewskich, Böhmera i Bassenge'a dla pani du Barry; kardynał de Rohan-Soubise sądził, że nim obdarza królowę, Maryę Antoninę; ten sam naszyjnik, który pewnego lutowego wieczoru w roku 1789, sławna awanturnica, Jeanna de Valois, hrabina de la Motte, z pomocą męża i wspólnika swego, Rétaux de Villette, rozdzieliła na sztuki.

Prawdę mówiąc, tylko oprawa pozostała autentyczna. Rétaux de Villette zachował ją nienaruszoną, Imci pan de la Motte zaś, wspólnie ze swą żoną, na cztery wiatry rozrzucili kamienie, brutalnie wyrwane z oprawy... te cudne kamienie, z tak troskliwą starannością dobierane przez Böhmera. Potem już, we Włoszech, oprawę samą, bez kamieni, sprzedał Rétaux de Villette Gastonowi de Dreux-Soubise, siostrzeńcowi spadkobiercy kardynała. Głośne bankructwo domu Rohan Guéménée zachwiało fortunę Gastona. Wyratował go kardynał, Rétaux de Villette. Wdzięczny Gaston — odkupił pozostałe z naszyjnika brylanty od ich obecnego właściciela, złotnika angielskiego Jefferysa, brakujące zaś uzupełnił, wprawdzie mniej wartościowymi, lecz tej samej wielkości kamieniami. W ten sposób odtworzył cudowny naszyjnik takim, jakim wyszedł z rąk Böhmera i Bassenge'a.

Przez cały wiek prawie chełpiła się rodzina de Dreux-Soubise tym historycznym klejnotem. Choć zmienne koleje losu znacznie podkopały ich fortunę, woleli zniżyć skalę wydatków, niżeli się wyzbyć tej królewskiej i drogocennej relikwii. Hrabiemu szczególnie drogim był ten klejnot, równie drogim, jak siedziba ojców.

Ze względów bezpieczeństwa nie trzymał go w domu. Wynajął szkatułę w banku lyońskim i tam go przechowywał. Za każdym razem, gdy hrabina miała w naszyjniku wystąpić, osobiście go przynosił, nazajutrz naszyjnik wracał na swoje miejsce.

Tego wieczoru, na przyjęciu w pałacu Kastylskim, hrabina miała wyjątkowo powodzenie. Przedziwna jej uroda zwróciła uwagę króla Krystyana, na którego cześć właśnie bal ten wydano. Drogie kamienie migotały dokoła kształtnej, alabastrowej szyi. W świetle lamp jarzących ścianki brylantów rzucały płomienie wspaniałych ogni. Zdawało się że żadna inna kobieta z równym wdziękiem i godnością nie potrafiłaby unieść ciężaru tak wspaniałego klejnotu.

Bal ten był dniem podwójnego tryumfu dla pana de Dreux-Soubise. Radość napełniała mu serce, gdy powrócił do komnat swego starego pałacu, na przedmieściu Saint-Germain. Czuł się dumnym z żony, niemniej może z klejnotu, który zlewał swe blaski na jego dom w ciągu czterech pokoleń. Pełna wyniosłości hrabina rada także była wyróżnieniu, które pochlebiało niezmiernie jej małostkowej próżności.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

NR 27

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— No — podobać się — to chyba nawet ona nie marzy. Ale — przyznaję, że ojciec wiedział i znalazł, co mi potrzeba, a raczej, na co się zgodzę. Po tem piekle, które tu ma, będzie jej wszędzie dobrze, i wody mi nie zamąci. Ależ to niezgrabne, dzikie, nie ułożone! A ubrane! Gwałtu, kto jej tę suknię krajał i wybierał? — Powiesić takiego majstra!

— Niceście nie rozmawiali?

— A o czemże z tem rozmawiać! Przecie to nawet w Warszawie nie było — mówiliśmy o klasztorze. Zna Dąbską — były razem w Galicyi. Jeśli już koniecznie mamy się pobrać, niech ojciec namówi Szpanowskiego, żeby z nią do Warszawy przyjechał. Poproszę Dąbskiej, żeby ją po ludzku ubrała. Żeby ją kto ze znajomych zobaczył w tej sukni! no!..

Ziewnął raz jeszcze Andrzej i począł się rozbierać.

— Nie rozumiem, jak ci ludzie tak żyć mogą. Bez towarzystwa, cały wiek z bydłem i czeladzią.

— To się mylisz. Szpanowski czyta i myśli, zacofany nie jest, dziewczyna ma także głowę w porządku, jest zdrowa, prosta i prawdziwa. Tomkowska — niby Szpanowska, chciałem mówić — jest koczkodan. Ale tego towaru znajdziesz pełno po świecie.

— Oni wcale rodziny nie mają?

— Nie — i to coś znaczy.

— Nawet wiele znaczy, jak dla mnie.

— Zatem — dogodziłem ci. Jutro Szpanowski urządzi wam „a parte“ — rozmówcie się — i wieczorem możemy wracać. Uf — spracowałem się!

I spoczął prezes — syt chwały i trudów.

Nazajutrz zbudziła ich obu — cisza. Ni turkotu doróżek, ni dzwonków tramwajów, ni wrzenia ulicy. Andrzej spojrzał na zegarek — była ósma. Za oknem śpiewały ptaszki radośnie, słońce zaglądało szczeliną rolety. Wyjrzał tedy przez szybę. Okno wychodziło na sad owocowy, który stał w kwieciu, biały, zroszony, wonny.

Pokój był na piętrze, więc widok był szeroki, bliżej owa biel kwietna, dalej błękit stawów, wreszcie olbrzymi łan zielonej runi. Het poza tem widać było czarne pola.

Od pól tych wracał Szpanowski na siwym koniu; dla niego dzień się już rozpoczął ze świtem. Wracał do domu na śniadanie.

Z folwarku wracała też Kazia i spotkali się na drodze. Andrzej oczyma ich przeprowadził, aż mu zniknęli za sadem. A właśnie i prezes się obudził.

— Jak tu cicho! Już nie śpisz? Otwórz-no okno! Czy to już późno?

— Myślę, że dla wieśniaków bardzo późno! Ósma! Co za przepyszne powietrze!

— Aha — powietrze jest — ale Kuryera nie będzie. Była sesya kanalizacyi wczoraj — nie dowiemy się, co uradzili — aż jutro!

Lokaj zajrzał dyskretnie. Zawołał go prezes.

— U was już może o obiedzie myślą? — spytał.

— Nie. Pan z panienką właśnie przy śniadaniu.

— A pani?

— Pani niezdrowa. Kazała oznajmić, że wcale nie wyjdzie.

— Co za szansa! — mruknął prezes — a głośno: — Pani często niedomaga?

— Ej, nie, proszę pana. Ale często nie wychodzi ze swych pokojów. Tak sobie — jako pani!

Miało to zapewne znaczyć: co ma sobie niedogadzać.

— Państwo każą tu podać śniadanie? — spytał lokaj.

— Ależ nie. Zaraz schodzimy! — żywo prezes zaprzeczył.

Andrzej już prawie gotów, oknem wyglądał, nie mogąc się nacieszyć wonią i widokiem.

— Jednakże mają i wieśniacy kęs przyjemności — mruknął.

— Idź, kiedyś ubrany! — naglił go ojciec. — Szpanowski wyprawi was do sadu — i kończcie!

Syn z westchnieniem usłuchał.

Gdy otwierał drzwi jadalni, usłyszał głos Kazi.

— Już idę, tatusiu, nie mogłam w niedzielnej sukni jeździć do doju i wydawać ze spiżarni. Zaraz się przebiorę!

Spotkali się na progu, cofnęła się i zmieszała.

Była ubrana w bluzę płócienną, szarą, ściągniętą skórzanym paskiem. Wydała mu się w tym stroju smuklejszą i zgrabniejszą.

Uśmiechnęła się do niego i podała rękę.

— Dobrze się panu spało? — spytał Szpanowski uprzejmie.

— O wyśmienicie, dziękuję! Państwa już widziałem przez okno na drodze. Dzień się tutaj wcześnie rozpoczyna.

— Latem wstajemy o czwartej, zimą o szóstej.

— To okropne.

— Rzecz nawyknienia. Pomimo to z dnia na dzień nie można podołać robocie.

Kazia wytłómaczyła sobie, że gdy gość ją zastał w domowym stroju przebierać się niema racyi. Nalała mu tedy herbaty, przysunęła ciasto i usiadła na swem miejscu, oznaczonem pękiem kluczy.

— Nigdym nie widział takiej masy drzew w kwiecie. Za ogrodem rzekę państwo mają?

— Nie, to sztuczne stawy. Były tam łąki przerżnięte ruczajem. Przed paru laty urządziłem hodowlę ryb. Obecnie daje to rocznie trzy tysiące dochodu. Jeśli pan ciekawy, możemy obejrzeć.

Wejście prezesa przerwało odpowiedź.

— Spóźniłem się. Słyszę, pani nie zdrowa! Nic groźnego, dzięki Bogu. Dziękuję pani — co za śmietanka! Bodaj to wieś błogosławiona. Mój pan syn cały ranek z pożądaniem na sad w kwiecie wyglądał. Ręczę, że marzy o spacerze.

— Ano, Kaziu, to zaprowadź pana Andrzeja do ogrodu — rzekł Szpanowski. — Spotkamy was nad stawem.

Dziewczyna wstała posłusznie, chociaż pobladła bardzo, czując, że chwila stanowcza się zbliża.

Wyszli przed dom, okrążyli go i znaleźli się pod cieniem kwitnących jabłoni, których białe płatki osypywały ich przy lada powiewie, przy trąceniu skrzydeł ptaszych nieledwie.

Wyżeł łaciasty łasi się do Kazi, zdziwiony, że nie może jej namówić do zabawy i wyścigów. Ale ona szła bardzo poważna, objaśniając gościa.

— Ten sad ojciec też urządzał, kiedy tu rządzcą został. To są całe kwatery jednolitego gatunku. Po sto sztuk w każdej. Tam na lewo są cieplarnie i inspekty, na prawo szkółki, a dalej park.

Schyliła się po fiołki, którymi murawa była pokryta.

— Literalnie można się w nich tarzać! — zauważył Andrzej.

— O to jeszcze nic w porównaniu do Szadowa, folwarku, który ojciec dzierżawił, i gdziem się urodziła i wzrosła. Tam były murawy fioletowe, a bzy do okien się wciskały. Tam było ślicznie!

Oczy jej zabłysły uciechą.

— A gniazd ile tam było: w głogach, w malwach, w chmielach — pod nogami. Bo sad był

mały i zdziczały, ale żyło tam wszystko swobodnie.

— Teraz tam nowy dzierżawca — byłam raz, ale już inaczej. Dzieci ma kilkoro — chłopcy, ptaki nawet ich się boją!

Zebrała bukiecik fiołków i poszli dalej.

— Pani lubi wieś? — zagadnął Andrzej.

— O, lubię. Chciałabym mieć malutki szmatek własnej ziemi — byłabym wtedy szczęśliwa.

— A jakże pani decyduje się żyć w mieście? — rzekł, od razu wszczynając główny temat.

— Bo tak trzeba! — odparła z prostotą, spojrzała mu w oczy — i dodała po chwili namysłu!

— Pan się też decyduje na coś, co nie jest dla pana szczęściem.

— Co ojciec mój mówił pani o mnie? — zagadnął?

— Mówił, że pan kocha bardzo piękną i wykształconą panią — mężatkę, ale, że pan obiecał matce ożenić się, że pan jest dobry i delikatny, że ojcu pana pusto i samotnie w domu, że potrzebuje opieki i starań i towarzystwa na starość i że mnie polubił — więc — żebym się zgodziła!

Mówiła spokojnie, szczerze, wciąż patrząc nań swemi łagodnemi, poważnemi oczyma.

— I nic więcej? — spytał Andrzej z naciskiem.

— Nic! Albo może być co więcej? Ja odpowiedziałam, że się zastanowię — i gdy drugi raz przyjechał, zgodziłam się, bo muszę i bom go bardzo polubiła. Żebym miała dość nauki, poszłabym na nauczycielkę, ale nie mam dyplomu, a teraz tyle wymagają! Uczyłam się dobrze, i dalej sama się kształcę, ale na dyplom trzeba kursów i egzaminów, a na to niema czasu. I zostać tu mi nie sposób, macocha mnie nie lubi, za to ojciec cierpi. Trzeba się usunąć!

Oczy jej stały się bardzo smutne, gdy mówiła dalej.

— Pomyślałam tedy: Gdy odejdę, ojciec będzie miał spokój, on o tem marzy, by mi los zapewnić. A tam u państwa w domu nie będzie mi gorzej, niż tu. Wiem, co mnie czeka, uczucia nie daję, więc i żądać nie mogę, a przecież źli dla mnie nie będziecie! Tylko i ja mam panu coś do powiedzenia.

Zabrakło jej słów i krew uderzyła do skroni.

Stali już nad stawem, na cyplu, gdzie się dwa zbiorniki łączyły z sobą, przegrodzone grobelką i upustem. Z cichym szelestem woda biegła pod ich stopami, a nad niemi płacząca brzoza szemrała drobniuchnem liściem, do wody zwieszając warkocze.

Andrzej zdziwiony patrzał na nią. Chwilę pasowała się z sobą, potem z rezygnacyą skazańca, rzekła cicho i nieśmiało.

— Bo i ja, jak pan — kocham kogoś!

Zdumiał się ogromnie i brwi zmarszczył. Spostrzegła to, i coś nakształt radości mignęło jej w oczach.

— Za pewne pan się cofnie po tem, ale powiedzieć musiałam.

— A on jest może żonaty, — uśmiechnął się dziwnie.

— Ach, gdzież tam — oburzyła się, tak jej prostocie wydawało się to anormalnem i grzesznem.

— A zatem nie kocha pani? — badał, czując nielogiczny gniew i oburzenie, zamiast logicznego zadowolenia.

— Owszem — i on mnie kochał, ale jego już niema.

— Więc umarł?

— Nie wiem, zginął, może nie żyje. Już trzy lata bez wieści wyjechał. Z Warszawy wyjechał na dwa lata, właśnie egzamin na lekarza złożył, miał osiąść w Lublinie. I tak wszystko się zmieniło. Byliśmy zaręczeni — i powinnam mu wiary dochować. Nazywa się Stanisław Boguski.

— Boguski! Pamiętam, słyszałem to nazwisko.

Zamilkli i stali zapatrzeni w wodę. Andrzej rozmyślał, walcząc z resztą nielogicznego gniewu. Rozsądek mu wracał. Kazia, zbywszy tajemnicy, odetchnęła swobodnie i cierpliwie czekała wyroku. W głębi duszy pragnęła, by się cofnął.

Ale Andrzej już równowagę odzyskał, ocenił położenie.

— W anormalnych jesteśmy warunkach! — zaczął mówić. — Ja ubóstwiam inną kobietę, pani marzy o innym mężczyźnie. Czy sobie nie gotujemy czyścowego życia? A jednak możeby gorzej było, gdybyśmy siebie kochali bez wzajemności! Nie wiem, byłby to może piekielny żywot. Dziękuję pani za wyznanie i szczerość. Oboje nieszczęśliwi, uszanujemy swe niedole. Proszę panią o rękę.

Kazia przeraziła się teraz dopiero. A zatem stało się! Tamten umarł, ona go w tej chwili grzebie.

Jeszcze raz spróbowała się wycofać.

— A jeśli ta pani owdowieje? — szepnęła.

— A jeśli on wróci? — odparł.

Potrząsnęła głową.

— To co innego. Gdy wejdę do domu pana, już dla niego nie żyję.

— O jakże pani nieznaną rzeczą jest miłość! — zawołał gorzko.

— Owszem, ale dla miłości nie wolno być nieuczciwą — rzekła bardzo poważnie.

Poczerwieniał mimowoli.

— Wedle tego ja jestem nieuczciwy.

— Nie, bo pan mnie nie oszukuje, i tak jest w zwyczaju świata, że ja powinnam pilnować honoru pańskiego nazwiska i domu. Lecz, gdy ta pani owdowieje...

— Nie ożenię się z nią nigdy! O tem nie może być mowy! — przerwał prędko, stanowczo.

— Więc jeśli pan chce, to już między nami skończone — rzekła, starając się uśmiechnąć.

Wyciągnął do niej dłoń i uścisnęli prawice.

— Ojciec się bardzo ucieszy! — rzekła. — Proszę, nie mów mu pan prawdy; pan prezes mi to także obiecał. Mało ma radości w życiu, niech tę ma bez troski.

— Nie powiem nic i pani będę wdzięczny, gdy o tem więcej mowy między nami nie będzie!

— Jak pan sobie życzy, słowa nie powiem. Ja rozumiem, jak to boli, gdy ktoś obcy naszych ran dotyka. Ja tego panu nie uczynię.

Spojrzała mu poczciwie w oczy i mówiła dalej.

— Pan prezes wzmiankował, że pan życzy sobie ślubu cichego i bez zwłoki. Ojciec mi posagu nie daje, ale mam po matce dwa tysiące rubli na wyprawę. Muszę inaczej się ubrać — uśmiechnęła się — pan bogaty.

— Mamy pół Warszawy znajomych, co najgorsza! — odparł.

— Ach, tak, to najgorsze! Bardzo się lękam narazić pana na śmieszność swą dzikością i nieobyciem.

— Postaramy się tego uniknąć. Ma pani przecie wśród tych obcych koleżankę! Pani Tunia nam dopomoże. Państwo przyjadą do Warszawy i udamy się pod skrzydła pani Marty.

— Tak, prawda! Ona mnie nauczy i poradzi.

— Kaziu, Kaziu! — rozległ się z głębi ogrodu głos Szpanowskiego.

Kazia spojrzała ku słońcu i przeraziła się.

— Już około dziesiątej! — zawołała, ruszając na wołanie.

— Pani nie potrzebuje zegarka — zaśmiał się Andrzej — jest akuratnie trzy kwadranse na dziesiątą.

— Miałam zegarek, ale mi go Zosia potłukła na miazgę! — odparła wesoło. — Nauczyłam się tedy oryentować po słońcu.

Naprzeciw nich ojcowie szli, prezes rozpromieniony, Szpanowski niespokojny.

— Panna Kazimiera pewno dla mnie zebrała fiołki — wołał prezes z daleka. — Proszę starego udekorować i nadstawił klapę surduta.

Gdy mu wkładała kwiatki, ciszej spytał:

— Cóż? skończone?

Skinęła głową i spojrzała ku ojcu, do którego Andrzej przystąpił właśnie z oficyalną przemową.

Szpanowskiemu rozjaśniła się twarz, obie ręce wyciągnął do młodego człowieka, któremu aż wstyd było, że oszukuje poczciwca.

— Serdeczniem panu rad i za zaszczyt dziękuję — mówił rozrzewniony. — Z całem zaufaniem dziecko panu powierzam, będąc pewnym także, że i ona wam wstydu, ni przykrości w dom nie wniesie.

Potem padli sobie z prezesem w objęcia i Szpanowski naprawdę ze szczęścia zapłakał, gdy mu Kazia pogarnęła się w ramiona.

A ona w tej chwili zapomniała o sobie, tylko szczęśliwa była jego zadowoleniem.

II.

Babcia Boguska siedziała o zmroku na swym ganeczku, który już maj ustroił zielenią i bzami, a u jej stóp siedziała Kazia na stopniu schodów; Kazia jakaś inna, przebrana modnie, uczesana modnie i obie milczały już długą chwilę. Słowik zawodził w bzach, dziewczyna, założywszy bezczynnie ręce, patrzała zamyślona na drogę i pole; staruszka machinalnie robiła na drutach kaftanik bawełniany.

Wreszcie Kazia westchnęła głęboko.

— Żeby się to już raz skończyło! Te sześć tygodni próżnowania zdają mi się bez końca. A przytem mam taki chaos w głowie z tej Warszawy, że jestem wciąż, jak w gorączce.

— A przecie to będzie twoje życie! — wtrąciła stara.

— Nie, broń Boże! Nie będę przecie życia spędzała po magazynach i pracowniach sukien ani u Tuni, której drzwi się nie zamykają od wizyt.

— U was też będą wizyty, może jeszcze więcej.

Dziewczyna ruchem rozpacznym objęła głowę.

— Przywykniesz! — spokojnie rzekła babcia Boguska. Wśród tych ludzi znajdziesz miłych i sympatycznych, potem przyjaciół i zażyłe stosunki.

— Żebym tylko robotę miała. Nie wytrzymam bez pracy. Teraz, tutaj, dzień mi się rokiem wydaje! A tam oni mnie, ja ich nie rozumiem. Boję się odezwać, tak oni jacyś inni.

— Jutro przyjeżdżają panowie Saniccy!

— Nie wiem ściśle. Zapowiedzi już wyszły — a taki cichy ślub — może się co dzień odbyć! — odparła obojętnie.

— Już eś zupełnie spokojna!

— Czy ja wiem? — Jestem odurzona i tak zmęczona tem wszystkiem, że radam, by się skończyło. Macocha rada też mnie się pozbyć co rychlej — nie wiem dlaczego — co dzień przykrzejsza! Odebrała mi klucze i zajęcie — a teraz przy każdym obiedzie narzeka na darmozjadów i próżniacze panny, wyglądające konkurentów. Boję się Warszawy, ale chyba tam, nie będą mi tyle dokuczali. Prezes jest dla mnie tak dobry, jak ojciec.

— A twój narzeczony?

— Dobry także i uprzejmy! — odparła krótko.

Pomimo, że przed babcią Boguską nie miała tajemnic, o Andrzeju nie mówiła nigdy więcej. Staruszka była tem w głębi serca urażona. Zdawało się jej, że Kazia już zapomniała o jej wnuku, a wyznać nie śmie, że tamtego już kocha. Stosunek ich nie miał już dawnej serdeczności.

— I naprawdę nie masz ślubnej sukni? To nie ma sensu! Co ludzie tu pleść będą! — zauważyła po chwili trochę gderliwie.

— Pomyślałam, że to niepotrzebny zbytek i ceremonia. Z kościoła pojedziemy wprost na kolej. Nie mam matki, którąby mnie stroiła, ani domu gdziebym się przebierała.

— Bardzo to dziwaczne i nie stosowne. Poco ludziom dawać materyał do plotek! — zamruczała Boguska. — Żebym miała głos, tobym nigdy na to nie pozwoliła.

Kazia spuściła głowę.

— Żeby babcia miała głos, wtedy inaczejby było! — rzekła smutnie.

Staruszka zrozumiała ją i nagle pożałowała swych podejrzeń. Kazia nie zapomniała, tylko już nie pozwalała sobie myśleć i mówić o tamtym.

Znowu umilkły. Zdala od gościńca trąbka pocztowa grała. Po chwili dziewczyna się odezwała:

— Ludzie o mnie tu prędko zapomną. Zaledwie znają — nie powrócę nigdy. Może ostatnią wiosnę wiejską widzę. Wszystko się zmienia, i mnie trzeba się zmienić. Przez tę parę tygodni w mieście dusiłam się wśród murów, tęskniłam ogromnie do pól. Ja nie wiem, jak tam wyżyję. A to już i tęsknić nie będzie wolno — nie wrócę!

— A mnie odwiedzić nie myślisz, niecnoto! — smutnie uśmiechnęła się staruszka.

— Prezes kiedyś się oburzył na macochę, i zaprzysiągł, że mnie tu nigdy nie puści! — odparła.

— A ojca! Przecie odwiedzisz.

— Ojciec do nas przyjedzie. On to rozumie, że tu dla mnie niema miejsca. I tak już nie wrócę do pól.

— Na pogrzeb mój przyjechać musisz. Wolno ci przecie będzie mnie do trumny ułożyć! Nikogo swojego nie mam, a blizko już mi do ziemi.

— O babciu! — żałośnie szepnęła Kazia, do kolan jej się tuląc.

I płakała długo w cichości.

A w tem na drodze turkot się rozległ, coraz bliższy.

— Po ciebie jadą! — rzekła staruszka.

Na podwórze wpadł wózek, którym Szpanowski pole objeżdżał — powoził Stacho Skowronek.

— Co się stało? — zawołała Kazia, przerażona o ojca.

— Pan mnie na gumnie złapał i kazał duchem po panienkę jechać, a sam do gości poszedł.

— Przyjechali! — Kazia spojrzała żałośnie na Boguską.

— Jutro zatem ślub. Będę w kościele, daj mi wiedzieć, na którą godzinę, żebym cię pobłogosławić mogła. Boża wola, dziecko, Boża wola, nie nasza! Wszystko ci się zmieni, tylko duszy nie zmień. Niechże cię Bóg prowadzi. — I przytuliła ją drżącą do piersi, krzyż nad głową kreśląc, i po chwili Kazia już była na drodze za starym dworkiem, w którym marzyła życie przebyć, a którego już może więcej nie zobaczy.

Milczała smutnie, gdy w tem Stach się odezwał:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

— Jadę od granic Kanady — rzekł przybywający — umyślnie tu do was, do Pułaskiego, którego poznać pragnąłem... Nazywam się Tadeusz Kościuszko...

— O słyszeliśmy już o was, nawet nimeśmy tu przybyli, w Tulonie. Jakże generał rad wam będzie, Bóg nam zesłał we wilią najpożądańszego z gości... Ja jestem adjutantem Pułaskiego, nazywam się Karol Pluta.

— A! nie wiesz — przerwał rozrzewniony Kościuszko — co to jest po długim poście posłyszeć mowę swoją, zobaczyć brata!...

Łza pokazała mu się na oczach.

Spotkanie najdroższego przyjaciela nie uczyniłoby w kraju na nich obu takiego wrażenia, jak tu zetknięcie się niespodziane dwóch nieznajomych, ale krwią i duchem braci... Stali i drżąc ściskali dłonie, nie mogąc się napatrzeć sobie.

— Co za szkoda, że ja was zaraz do Pułaskiego zaprowadzić nie mogę, — rzekł Karol — ale mam sprawę pilną, muszę dojechać do Lamberton... za pół godziny spodziewam się być z powrotem. Jedźcie wprost ztąd... a z placu wam każde dziecię dom Pułaskiego pokaże, bo go tu znają i imie nawet wymawiać się nauczyli.

— I szanować go! — dodał żegnając Kościuszko.

— A któżby, poznawszy go, nie szanował, nie kochał, nie wielbił — zawołał Karól. — Mało takich ludzi, jak on, miała Polska, a wysłała go zbierać laury za atlantykiem...

— No! w drogę, w drogę i co rychlej z powrotem! — rzekł Kościuszko...

— O! pospieszę pewnie, bo przybycie wasze dla nas, to uroczystość, jakiejśmy nie mieli!

— A! a dla mnie! widzicie, żem przybył umyślnie, aby swoich zobaczyć, język nasz, tę najsłodszą sercu muzykę usłyszeć...

— Każdego wyrazu dźwięk śpiewa mi w duszy pieśnią młodości i nadziei. Ale dość! dość, na koń i w drogę...

Karól piorunem popędził do księdza po opłatki.

Tak owa wilia Bożego Narodzenia stała się podwójnie dniem uroczystym. Pułaski był szczęśliwy z przybycia ziomka, którego nie wiedział, jak ugaszczać i przyjmować.

Został mu ten stary szlachetny nałóg nasz polski, co z sercem dom i dłoń otwiera, coby krwi utoczył gościowi, byle go jak króla uszanować i dowieść, że mu się nic nie skąpi. Ale przy niedostatku żołnierskim jak tu było okazać tę tradycyjną serdeczność.

Zasępił się biedny Pułaski.

Całą resztę dnia tego spędzili jakby w gorączce, mówiąc o kraju, o dziejach konfederacyi, o starych i nowych domowych sprawach.

— Słuchaj mój Rogowski — rzekł Kazimierz wieczorem, odwiódłszy go na stronę — nasz to święty ojcowski obyczaj gościa pobożnie przyjmować.. a jeszcze taki gość! nasz! Polak! Musimy bracie wystąpić... ale jak? Sprzedaj co chcesz, zastaw, pożycz... a trzeba żeby wiedział, żeśmy mu radzi.

Rogowski tylko co się z projektowaną wilią nie wygadał, ale sobie języka ukąsił.

— Panie generale — rzekł — proszę być spokojnym, ja z Karolem obmyślimy środki a — jakoś to będzie. Tylko co się tyczy jutra... to post i wilia.

— Wilia! — a prawda rzekł smutnie Pułaski.

— Więc jutro... to się jakoś przekołacze, a na Boże Narodzenie ja za lusztyk ręczę — dodał Rogowski... Zastawim się a postawim po szlachecku!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Czy jest tu obywatelka Tison? — zapytał prezes.

— Zapewne że jest — zawołał Simon. — Obywatelko Tison odezwij się przecie.

— Oto jestem, mój prezesie — rzekła ceklarka — ale jeżeli zeznam, czy oddacie mi moją córkę?

— Twoja córka nie ma nic wspólnego z zajmującą nas sprawą — powiedział prezes — zeznawaj więc, a potem możesz się udać do gminy i upraszać o twe dziecię.

— Czy rozumiesz? obywatel prezes rozkazuje ci abyś zeznawała — krzyknął Simon — zeznawaj więc natychmiast.

— Chwilkę cierpliwości — rzekł prezes obracając się ku Maurycemu, zdziwiony spokojnością tego zwykle tak zapalczywego młodzieńca — chwilkę. Obywatelu urzędniku, czy nie masz nic do powiedzenia?

— Nie, abywatelu prezesie, to tylko powiem, że Simon nim nazwał mnie podłym i zdrajcą, powinien był wprzód lepiej się o wszystkiem poinformować.

— Mówisz więc... — przerwał Simon tonem szyderstwa właściwego paryzkiemu gminowi.

— Mówię Simonie — powtórzył Maurycy raczej smutny niż zagniewany — że wkrótce okropnie zostaniesz ukarany, skoro zobaczysz co nastąpi.

— A cóż to ma nastąpić? — spytał Simon.

— Obywatelu prezesie — zaczął znowu Maurycy nie odpowiadając obrzydliwemu oskarżycielowi — i ja dzieląc zdanie mego przyjaciela Lorina, proszę cię, aby wysłuchano pierwej młodą dziewczynę, którą aresztowano, nim zabierze głos ta biedna kobieta, którą zapewne namówiono do uczynienia denuncyacyi.

— Czy słyszysz, obywatelko? — zawołał Simon — czy słyszysz? nazywają cię tam fałszywym świadkiem.

— Ja? fałszywym świadkiem! — rzekła stara Tison — ah! obaczysz; poczekaj, poczekaj.

— Obywatelu — rzekł Maurycy — przez litość rozkaż tej nieszczęśliwej, aby milczała.

— Ah! ha! boisz się — wrzeszczał Simon — boisz się. Obywatelu prezesie, ja koniecznie nalegam, aby obywatelka Tison zeznawała.

— Tak, tak, niech zeznaje! — zawołały trybuny.

— Milczeć! — zawołał prezes — otóż i gmina wraca.

W tej chwili usłyszano turkot nadjeżdżającego powozu; wielki szczęk broni i zgiełk.

Simon niespokojnie obrócił się ku drzwiom.

— Zejdź z trybuny — rzekł prezes — nie masz więcej głosu.

Następnie weszli żandarmi, a za nimi nowe tłumy ciekawych, które wnet roztrącono i popchnięto jakąś kobietę ku kratkom.

— Czy to ona? — spytał Lorin Maurycego.

— Tak, tak, ona, — rzekł tenże. — Oh! nieszczęśliwa! zgubiła się!

— Kwiaciarka! kwiaciarka! patrzcie! — szepnęły powodowane ciekawością trybuny.

— Żądam przedewszystkiem aby stara Tison zeznawała — ryknął szewc — kazałeś jej przecie aby to uczyniła, a jednak widzisz, że cię nie słucha.

Przywołano starą Tison, która uczyniła straszliwą, szczegółową denuncyacyę. Według niej kwiaciarka winną była wprawdzie, lecz Maurycy i Lorin byli jej wspólnikami.

Denuncyacya ta niewypowiedziane sprawiła wrażenie na publiczności.

Tymczasem Simon tryumfował.

— Żandarmi, przyprowadźcie kwiaciarkę — zawołał prezes.

— Oh! co za okropność — szepnął Morand, tuląc głowę między dłonie.

Przywołana kwiaciarka stanęła poniżej trybuny, wprost naprzeciw starej Tison, której zeznanie tak mocno powiększyło zbrodnię o jaką ją obwiniono.

Wtedy odrzuciła swój welon.

— Heloizo! — zawołała stara Tison — moja córko... tyś tu...

— Tak jest, matko — łagodnie odpowiedziała dziewica.

— I dla czegóż stoisz między żandarmami?

— Bo jestem oskarżona, matko!

— Tyś... oskarżona! — zawołała z rozpaczą stara Tison — a przez kogo?

— Przez ciebie, matko!

Okropne grobowe milczenie zaległo nagle całą hałaśliwą masę ludu, wrażenie straszliwej tej sceny ścisnęło wszystkie serca.

— To jej córka! — szeptały w dali ciche głosy — to jej córka, o nieszczęśliwa!

Maurycy i Lorin spojrzeli na skarżącą i na oskarżoną z uczuciem głębokiego politowania i pełnej uszanowania boleści.

Simon, jakkolwiek pragnął widzieć koniec tej sceny, która jak mniemał nieomylnie skompromituje Maurycego i Lorina, jednakże starał się gwałtem umknąć spojrzeń starej Tison, która błędnym wzrokiem w około siebie wodziła.

— Jak się nazywasz obywatelko? — spytał prezes, sam wzruszony widokiem tej dziewicy tyle spokojnej i na wszystko przygotowanej.

— Heloiza Tison, obywatelu.

— Ile masz lat?

— Dziewiętnaście.

— Gdzie mieszkasz?

— Przy ulicy Nonandiéres nr. 24.

— Czyś to ty sprzedała dziś rano bukiet goździków urzędnikowi Lindey, którego widzisz na tej ławce.

Heloiza obróciła się ku Maurycemu i spojrzawszy nań rzekła:

— Tak jest, obywatelu, to ja.

Stara Tison okiem trwogą nabrzękłem patrzyła na córkę.

— Czy wiesz, że w każdym z tych goździków znajdował się list do wdowy Kapet?

— Wiem — odpowiedziała oskarżona.

Po sali przebiegło poruszenie zgrozy i podziwienia.

— Dla czegożeś podała te goździki obywatelowi Maurycemu?

— Bom widziała na nim urzędnikowską szarfę, i domyśliłam się, że idzie do Temple.

— Jacy są twoi wspólnicy?

— Nie mam żadnych.

— Jakto! a więc sama tylko uknułaś ten spisek?

— Jeżeli to jest spisek, uknułam go sama.

— Ale czy obywatel Maurycy wiedział...

— Że w tych kwiatkach były karteczki?

— Tak.

— Obywatel Maurycy jest urzędnikiem; mógł więc widywać królowę sam na sam, każdej chwili w dzień i w nocy. Gdyby więc miał jej coś do powiedzenia, to pewno nie potrzebowałby pisać, bo mógł mówić.

— I nie znałaś obywatela Maurycego?

— Widywałam go niekiedy w Temple, wówczas jeszcze gdym mieszkała przy biednej matce mojej; alem go znała tylko z widzenia.

— A widzisz, nędzniku! — zawołał Lorin grożąc pięścią Simonowi, który zwiesiwszy głowę, przygnębiony nową postacią rzeczy, próbował czyli mu się nie uda umknąć. — Widzisz coś narobił?

Wszystkie spojrzenia padły na Simona i przywaliły go największą pogardą.

Prezes mówił dalej.

— Ponieważ więc sama dałaś ten bukiet, ponieważ wiedziałaś, że w każdym kwiatku jest karteczka, powinnaś zatem wiedzieć także co na niej było napisano.

— Bezwątpienia że wiem.

— A więc! powiedz co to było?

— Obywatelu — z godnością rzekła dziewica — powiedziałam już wszystko com mogła, a nadewszystko com chciała.

— Odmawiasz więc dalszych odpowiedzi?

— Odmawiam.

— I wiesz na co się narażasz?

— Wiem.

— Masz może nadzieję w twej młodości? w twej piękności?..

— Mam tylko nadzieję w Bogu.

— Obywatelu Maurycy Lindey — powiedział prezes — obywatelu Hyacyncie Lorin, jesteście wolni; gmina uznaje waszą niewinność i oddaje sprawiedliwość waszemu obywatelstwu; żandarmi odprowadźcie obywatelkę Heloizę do więzienia sekcyi.

Zdawało się, że te słowa przebudziły starą Tison, wydała ona krzyk okropny i chciała rzucić się dla ucałowania raz jeszcze swej córki. Ale żandarmi nie dopuścili jej.

— Przebaczam ci, matko moja! — wołała uprowadzana dziewica.

Stara Tison wydała dziki ryk i padła jak martwa.

XII.

List.

W ciągu opowiedzianych wyżej wypadków dopełnił się ostatni dramat zaczynający rozwijać się w ponurych swych zmianach.

Stara Tison; jak piorunem rażona zaszłem zdarzeniem, opuszczona od wszystkich co jej towarzyszyli, bo mimowolny nawet występek ma swą ohydną stronę, a zbyt jest wielkim występkiem matki zabijać własne dziecię, chociażby nawet było to skutkiem patryotyzmu, stara Tison, mówimy, stojąc niejakiś czas zupełnie nieruchoma, podniosła wreszcie głowę, rzuciła w około siebie błędne spojrzenie, i widząc się opuszczoną z okropnym krzykiem rzuciła się ku drzwiom.

U drzwi stało jeszcze kilka ciekawych, zajadliwszych niż drudzy; ustąpili jej z drogi skoro ją spostrzegli i wskazując ją sobie palcami mówili:

— Widzisz tę kobietę? To ona denuncyowała własną córkę.

Stara Tison wydała okrzyk rozpaczy i pobiegła w kierunku Temple.

Lecz zaledwie przybyła do połowy ulicy Michel-le-Comte, zaszedł jej drogę jakiś człowiek, który twarz płaszczem zakrywszy spytał:

— Kontentaś? wszakżeś zabiła twą córkę?

— Zabiłam córkę! zabiłam córkę! — wrzeszczała biedna kobieta — nie, nie, to być nie może.

— A jednak tak jest, bo twoją córkę aresztowano.

— I gdzież ją zaprowadzono?

— Do Conciergerie; stamtąd poprowadzą ją przed trybunał rewolucyjny, a wiesz co się dzieje z tymi, których tam wiodą.

— Ustąp — rzekła stara Tison — i puszczaj mię.

— Gdzie idziesz?

— Do Conciergerie.

— Co tam będziesz robiła?

— Obaczę ją raz jeszcze.

— Nie wpuszczą cię.

— Ale mi pozwolą leżeć podedrzwiami, żyć tam, spać tam. Będę tam czekała aż wyjdzie, i obaczę ją przynajmniej raz jeszcze.

— A gdybym ci obiecał powrócić twą córkę?

— Co ty mówisz?

— Powiadam, że gdyby kto przyrzekł wrócić ci twą córkę, czy uczyniłabyś to, czegoby ten ktoś żądał od ciebie?

— Uczynię wszystko dla mojej córki, dla mojej Heloizy — zawołała stara z rozpaczy załamując ręce. — Wszystko, tak wszystko!

— Słuchaj! — zaczął znowu nieznajomy — Bóg to karze cię.

— Za co?

— Za męczarnie jakie zadawałaś matce, równie jak ty nieszczęśliwej.

— O kim chcesz mówić? Co przez to rozumiesz?

— Nieraz uwięzioną, którą pilnujesz, własną ręką wtrącałaś w rozpacz, jakiej sama w tej chwili doznajesz, przez twe grubiaństwo, przez twe oskarżenia. Bóg więc karze cię wiodąc na śmierć córkę twą, którą tak kochałaś.

— Mówiłeś, że jest człowiek, który ocalić ją może. Gdzież on jest? Co chce? Czego żąda odemnie?

— Człowiek ten żąda abyś poprzestała prześladować królowę, abyś błagała ją o przebaczenie ci zniewag, któreś jej wyrządziła, i jeżeli spostrzeżesz, że ta kobieta mająca także matkę, która również płacze, cierpi i rozpacza, jeżeli więc, mówię, spostrzeżesz że ta kobieta jakim cudem, lub jakim niepodobnym zbiegiem okoliczności, będzie mogła ratować się ucieczką, abyś nietylko nie sprzeciwiała się tej ucieczce, lecz nawet dopomagała do niej.

— Słuchaj obywatelu — rzekła stara Tison — wszak ty sam jesteś tym człowiekiem?

— I cóż stąd?

— Ty przyrzekasz ocalić mą córkę?

Nieznajomy milczał.

— Czy przyrzekasz? Czy bierzesz to na siebie? Czy przysięgasz mi to? odpowiadaj.

— Słuchaj. Wszystko cokolwiek człowiek uczynić może dla ocalenia kobiety, uczynię dla ocalenia twej córki.

— O! ty nie dokażesz tego! — wyjąc przeraźliwie zawołała stara Tison — nie, ty tego nie dokażesz! Kłamiesz, kiedy mi to przyrzekasz.

— Uczyń co możesz dla królowej, a ja uczynię co będą mógł dla twej córki.

— Cóż mnie obchodzi królowa! jest to matka, która ma córkę. A jeżeli utną komu głowę, to pewno nie jej córce, ale jej samej. Niech więc mnie utną głowę, lecz niech ocalą mi córkę. Niech mię wiodą pod gilotynę, lecz pod warunkiem, że ani jeden włos nie spadnie z jej głowy, a pójdę tam śpiewając.

I to mówiąc przeraźliwym głosem stara Tison zaczęła śpiewać; ale wnet przerwała nagle śpiew swój głośnym wybuchem śmiechu!

Człowiek w płaszczu przerażony tym przystępem szaleństwa, cofnął się o krok wstecz.

— O! ty tak nie odejdziesz odemnie — rzekła z rozpaczą stara Tison wstrzymując go za płaszcz — matce nie można mówić: „Uczyń to a ocalę twą

córkę,“ i potem dodać: „Może!“ — No, jakże, ocalisz ją?

— Tak jest.

— Kiedy?

— Wówczas gdy ją będą z Conciergerie prowadzić na rusztownie.

— Dla czegóż tak długo czekać? czemuż to nie dzisiejszej nocy, nie dzisiejszego wieczoru, czemu nie w tej chwili?

— Bo to być nie może.

— Ah! widzisz, widzisz — zawołała stara Tison — widzisz, że nie możesz, ale ja mogę.

— Cóż mówisz?

— Mogę prześladować uwięzioną, jak ją nazywasz; mogę czuwać nad królową, jak mówisz, arystokrato. Mogę w każdej chwili, dniem i nocą, wejść do jej więzienia i uczynię to niezawodnie. Co zaś do jej ucieczki, obaczymy. Ah! obaczymy, kiedy nie chcecie ocalić mi córki; czy i ona potrafi także ocalić siebie. Głowa za głowę, czy chcesz? Pani Veto była królową, wiem o tem; Heloiza Tison jest tylko biedną dziewczyną, i to wiem; ale pod gilotyną wszyscyśmy sobie równi.

— A więc! zgoda — rzekł człowiek w płaszczu; ocalaj królowę a ja ci ocalę córkę!

— Przysięgnij.

— Przysięgam.

— Na co?

— Na co zechcesz.

— Czy masz córkę?

— Nie.

— To więc, na cóż chcesz przysięgać? — powiedziała stara Tison opuszczając ręce w zwątpieniu.

— Przysięgam ci na Boga!

— Bah! — odrzekła stara — wiesz że zniszczyli dawnego, a nie zrobili jeszcze nowego.

— Przysięgam ci na grób mojego ojca.

— Nie przysięgaj na grób, na złeby ci to wyszło. O! Boże mój Boże! skoro pomyślę że za trzy dni może i ja także przysięgać będę na grób mojej córki. Moja córko! moja biedna Heloizo! — tak silnie wrzasnęła stara, że na grzmiący jej głos otworzyło się kilka okien.

Na widok otwierających się okien zdało się że jakiś człowiek dotąd niby przylepiony do muru, zbliżył się ku nieznajomemu.

— Nic nie poradzisz z tą kobietą — rzekł jeden drugiemu — ona oszalała.

— Nie, ona jest matką — odrzekł nieznajomy. I odszedł z swym towarzyszem.

Widząc że odchodzą, stara Tison zdawała się odzyskiwać zmysły.

— Dokąd idziecie? — zawołała — czy chcecie ocalić mą Heloizę? Czekajcie, pójdę z wami. Czekajcie, ależ czekajcie!...

I biedna matka rycząc spieszyła za nimi, lecz na rogu najbliższej ulicy straciła ich z oczu. Niewiedząc gdzie się udać, na chwilę stanęła niepewna co ma czynić, a widząc że jest sama jedna wśród nocnej ciszy wydała rozdzierający okrzyk, i bez zmysłów padła na bruk.

Wybiła dziesiąta.

W tymże czasie i gdy ta sama godzina wybiła na zegarze w Temple, królowa siedząc wraz z siostrą i córką przy świetle ciemnej lampy, w znanym nam pokoju, ukryta przed wzrokiem urzędników przez swą córkę, która udawała że ją całuje, odczytywała mały liścik, napisany na jak najcieńszym papierku i tak delikatnym charakterem, że oczy jej zgasłe prawie od łez zaledwie go przeczytać zdołały.

List ten brzmiał następująco:

„Jutro we czwartek, żądaj pozwolenia wyjścia do ogrodu, a otrzymasz je łatwo, ponieważ jest rozkaz aby ci wyświadczono tę łaskę, skoro jej zażądasz. Przeszedłszy się kilka razy, udaj znużenie; zbliż się do chałupki i proś wdowy Plumeau aby ci pozwoliła trochę u siebie spocząć. Tam po chwili udaj, że ci zupełnie źle i niby omdlej. Natenczas zamkną drzwi, aby ci nikt nie mógł przyjść w pomoc i zostaniesz sama z siostrą i córką. — Natychmiast otworzy się klapa od piwnicy; wejdziecie tam wszystkie trzy, będziecie ocalone.“

— O! wielki Boże! — rzekła królewska córka — miałożby skończyć się nieszczęśliwe nasze przeznacznie?

— A może list ten jest tylko sidłem? — dodała księżna Elżbieta.

— Nie, nie — mówiła królowa — ten charakter zawsze mi wykrywał obecność tajemniczego, lecz bardzo odważnego i wiernego przyjaciela.

Księżna Elżbieta załamała ręce.

Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Notatki z hygieny.

(Piękność twarzy.)

Filozof grecki Plato twierdził, że piękna twarz jest najwięcej zajmującem zjawiskiem na świecie. Z twarzy poznajemy charaktery, czytamy myśli, odgadujemy wzruszenia; w twarzy ludzkiej subtelny psycholog czyta jak w otwartej księdze.

Nietylko regularność rysów stanowi piękność; wyraz szlachetny, dobroć, prostota nadają najpospolitszej twarzy urok i wdzięk często większy, niż w twarzach obdarzonych posagowemi rysami. Hygiena nie jest zdolną odmienić rysów, lecz może wykształcić wyraz, udoskonalić ogólny pozór, niejako opromienić zdrowem światłem twarz całą. Żeby mieć piękną twarz, trzeba mieć piękną duszę, to jest pewnik, o którym kobiety dbałe o piękno nie powinny zapominać. Chciwość, zazdrość i wszelkie ujemne namiętności zostawiają swe ślady na twarzy, robią przedwczesne bruzdy i pozostawiają swe nieestetyczne piętno. Pogoda umysłu, dobroć i zdrowie — są to najdoskonalsze źródła i warunki piękności. Cera jest najwrażliwszą na wszelkie złe wewnętrzne czynniki i należy ona do najmniej trwałych ozdób kobiecego oblicza. Hygienista może dać pewne rady dla zachowania delikatności, gładkości i czystości cery, ale będą to tylko półśrodki bez dłuższego skutku. Ogół cały wie już dzisiaj, że złe trawienie, dużo mięsa, alkoholu, ubranie ciasne szkodą cerze. Młoda kobieta powinna mieć cerę czerstwą, białą czy śniadą, bez plam, bez pryszczy, bez zmarszczek. W jaki sposób można rozwiązać to zagadnienie, kusiło się niemało kobiet, lekarzy, przedsiębiorców aptecznych, a jednak niejedna z pań doszła do celu tylko staraniem o zdrowie i powierzchowność swoją bez żadnych sztucznych żywiołów pomocniczych. Prawidłowe i czynne życie, to droga najprostsza nawet do piękności.

Pierwsze prawidło, o którem pamiętać się powinno, jest to, że skórę na twarzy tak trzeba hartować, jak i na całem ciele.

Atmosfera świeża, bez wiatru, jest dla niej najpomyślniejsza, należy jednak przyzwyczajać się do brzydszej pogody; wiatr chłodny, a nawet zimny odświeża i zarumnienia policzki.

Noszenie woalki jest pożyteczne w zimie i na wiosnę. Zmiany atmosfery oddziaływają źle na cerę, ciepło czyni cerę wilgotną, miękką, skłonną do zmarszczek, słońce opala, pokrywa piegami, zbytnie zimno czerwieni, robi skórę szorstką. Łatwo domyśleć się można, jakich starań potrzeba dołożyć zależnie od pory roku. W lecie obmywanie twarzy wodą borną, a w zimie zmiękczanie skóry gliceryną neutralną jest do zalecenia niekiedy. Gliceryną pokrywa się twarz mokrą, nie wytartą jeszcze po myciu. Codzienne używanie gliceryny jest przeciwne piękności i tylko wypadki nadzwyczajne upoważniają do tego, jak: liszaje, szorstkość i pękanie skóry.

Hygiena codzienna wymaga mycia twarzy wodą zimną, najlepszą jest woda miękka; letnia woda otwierając pory, robi skórę wrażliwą na pył i pomaga formowaniu się węgrow.

Rozpoczynać mycie twarzy trzeba prysznicem; kupuje się do tego zwyczajny irygator; po prysznicu myć twarz gąbką bardzo miękką. Mydła jak najmniej używać i tylko wtedy, gdy twarz jest bardzo zapyloną po balu lub jeździe koleją. Zamiast mydła, raz na tydzień można myć twarz żółtkiem. Do zimnej wody, żeby ją zmiękczyć, dobrze jest dorzucać szczyptę otrąb lub mąki owsianej albo sody oczyszczonej. Czasami dla udelikatnienia dodanie parę kropel cytryny z gęstym sokiem buraków jest dobre i nieszkodliwe w użyciu.

Wieczorem przed snem wycierać twarz z kurzu ręcznikiem suchym i starym i parę razy na tydzień wcierać krem lanolinowy; wcierać najlepiej kuleczkami z waty aptecznej dopóty, dopóki wata nie będzie zupełnie białą i czystą. Lanolina nadaje cerze delikatności, a jednocześnie wcierając ją z góry na dół robi się do pewnego stopna masaż.

Nadzwyczaj trudno jest twarz uchonić od zmarszczek; osoby nerwowe, cierpiące na migrenę, pracujące umysłowo, dostają zmarszczek przedwczesnych. Smutek, gniew, śmiech — to są nieprzyjaciele twarzy; żeby zapobiedz zmarszczkom, unikać trzeba silnych wrażeń. Twarz ruchliwa przedwcześnie się starzeje; grymas, skrzywienie, wszystko to pozostawia ślady; trzeba unikać zbytecznego słońca, schu-

dnięcia, słowem do pewnego stopnia prowadzić życie rośliny, co dla kobiet inteligentnych jest niepodobieństwem i nudnem marnowaniem czasu. Amerykańskie »professional beauties« (piękności zawodowe) mogą tylko tak bezmyśne wieść życie.

Jednakże można uchronić twarz od przedwczesnego starzenia staraniem, które nawet wiele czasu nie wymaga, jak to: mycie twarzy zimną wodą, prysznic codzienny, masaż z wycieraniem lanoliną, masaż, jakeśmy powiedzieli wyżej, z góry na dół kuleczkami waty i masaż elektryczny, — wszystko to są środki zachowujące młodość.

Stosując przepisy ogólnej hygieny, wpływa się na świeżość i młodość oczu.

Należy sypiać w pokoju często przewietrzanym. Unikać częstych zebrań, teatrów, późnego kładzenia się spać.

Kobietom około lat czterdziestu, bardzo dbającym o twarz, pozwala się na używanie pewnych odświeżających środków lekarskich przeciwko zmarszczkom. Dla młodszych woda zimna i prysznic powinny wystarczyć.

Używanie wody rumiankowej przy lekkich zaczerwienieniach skóry jest nader skuteczne; jest to jeden z amerykańskich środków t. zw. »School of beauty« (szkoły piękności).

Trzeba również dbać o dobry stan żołądka. Na ciśnienie w dołku szklanka rumianku lub wody gorącej. Jedzenie lekkie, zdrowe, dużo owoców, żadkie używanie serów, pasztetów, raków, rzeczy pieprznych, zapobiega czerwienieniu się, pryszkom, pokrzywce, ostrości płci i t. d.

Wszelkie tłuste pudry należy wyrzucić, gdyż zawierają w sobie bizmut lub ołów, a przytem twarz pudrowana jest najwymowniejszym dowodem pretensyi do piękności, tem większej, jeśli jej istotnie los nie udzielił. Nic piękniejszego nad naturalność i prawdę.

Wszystkie starania o utrzymani piękności wchodzą w dziedzinę hygieny i kobieta dbająca o nią, nie powinna o tem zapominać.

Tym paniom, które widzą ze smutkiem, że starość przychodzi, powiemy z filozofem greckim, że ciało jest tylko powłoką człowieka, a nie jego istotą. a zresztą, każdy wiek może mieć typ piękny i estetyczny, bo każdy ma własny swój wyraz ducha, który go ożywiać powinien. Pustka tylko jest istotną ruiną.

Dom i kuchnia.

Mostek cielęcy nadziewany.

Z ładnego kilkofuntowego mostku wyluzować wszystkie kostki i nadziać następującym farszem: mięsa wieprzowego surowego lub pieczonego 1 funt usiekać na masę, dodawszy jedną oparzoną cebulę, nieco zielonej pietruszki i jedną kajzerkę namoczoną w mleku i wyciśniętą. Ćwierć funta słoniny, pokrajać w kostkę i z nią cały farsz wymieszać, potem złożyć go w rondelek, w którym poprzednio zasmażyć należy łyżkę masła, osolić, dodać nieco korzeni i całe jajko lub 2 żółtka. Farsz ostudzony rozsmarować na mostku poprzednio osolonym, zwinąć go w rulon, zaszyć, i prócz tego okręcić dość gęsto grubą bawełną, a potem na maśle ze wszystkich stron obrumienić. Na brytwannę, w której się mostek rumieni, złożyć go napowrót i podlać trochę rosołu, 1—2 szklankami wina, podłożyć trochę pokrajanej włoszczyzny. Wszystko to przykrywszy pokrywą, dusić przez 2 godziny na niezbyt silnym ogniu. Wydając na stół, mostek oczyścić z bawełny, pokrajać w plastry i polać przecedzonym przez sitko sosem, który należy tak wydusić, aby go zbyt wiele nie pozostało.

Smardze z sadzonemi jajami.

Opłukane smardze posiekać, osmażyć w maśle, dodawszy jednę siekaną cebulę, pęczek siekanej pietruszki i kilka gałązek bazyliki, nalać dobrym rosołem i zagotować. Gdy już grzyby stracą surowość, wyjąć zieloność, smak zaostrzyć korzeniami, zaprawić żółtkami, wyłożyć potem na spód z francuskiego ciasta wstawić w piec, a na wydaniu przystroić kształtnie obrobionemi sadzonemi jajami, skropić sokiem cytryny i wydać na stół.

Poziomki jako środek udelikatniający skórę.

Nie można chyba znaleźć środka, działającego lepiej na gładkość i białość twarzy i rąk, niż świeże poziomki, które mają i tę własność, że spędzają ogorzeliznę od słońca. Poziomki rozgniata się na masę i okłada się twarz, a gdy zaczną zasychać, obmywa się czystą, zimną wodą, najlepiej przegotowaną. Jeżeli niema wody miękkiej i przegotowanej, umyć się w surowej i twardej, której sok z poziomek nadaje miękkość. Gdy przeminą leśne poziomki, można używać z równym skutkiem i ogrodowych, wybierając zupełnie dojrzałe.

Środek odstraszający komary.

Napuścić kilka kropel olejku cytrynowego na watę, przypiąć do włosów lub do sukni i natrzeć olejkiem rękawiczki i pończochy — dla odpędzenia komarów, które nie znoszą tego zapachu.

:: HUMORYSTYKA ::

Trwożliwa.

— Więc powiadasz pan że mnie kochasz prawdziwie?

— O tak, pani jedna przebywasz w mem sercu i głowie.

— O jeżeli tak, to dziękuję, gdyż boję się niesłychanie znajdować sama jedna w pustym lokalu.

— Darmo mi ty Wojtek za Magdą łazis i mnie sie podlizujes. Córki ci za zone nie dom, boś jest chudok, a una gospodarsko córka.

— Ej rety, rety! Macieju, nie bądźcie tak zawzionci. Toli mom pseciez pikną łąkę, a bedzie jej ze dwa morgi.

— Dzist! co za łąka! sam rumianek i tamarysek na niej rośnie.

Porada bezpłatna.

— Czy jest pan doktor?

— Dziś pan doktor wcale nie będzie.

— I kiedyż on bywa nareszcie, chodzę tu już od kilku dni i nigdy go nie ma. To są żarty z biedaków, to nie po ludzku, to... to wreszcie nie ma nazwy!...

— Owszem, to nazywa się „porada bezpłatna“.

— Ej! panie gospodarzu! zachwalasz pan tak ogromnie to mieszkanie, a to i nizkie i ciemne. — Ostatecznie,... ile pan chce za tę budę?

Gospodarz (urażony). Dziesięć reńskich miesięcznie, notabene jeżeli pan nie kąsa...

I tacy są jeszcze.

Rzecz dzieje się na ulicy:

— Cóż to, od roku już mi pan winieneś 100 marek i teraz nawet się nie kłaniasz?

— Cóż pan chcesz? Nakłaniałem się dosyć zanim dostałem od pana te głupie 100 marek; teraz na pana kolej kłaniać się. Żeby je odebrać.

Żebrak dyplomata.

Rzecz dzieje się na Powązkach.

Koło jednookiego dziada przechodzi jakiś biedny rzemieślnik.

— Litościwa osobo, wesprzyj biednego, bo jeżeli biedny — biednemu nie pomoże, to bogaty nic nie da.

Rzemieślnik daje jałmużnę.

Nadchodzi jakiś pan dostatnio ubrany.

— Wielmożny panie, wesprzyj żebraka, bo któż wesprze biednego jeśli nie bogaty — biedak bowiem biedakomi nic dać nie może.

— Efroim! muszę czy powiedżycz, że ja muszę tego roku znowaś jeżdżycz do kąpieli na kuracyę...

— Gott der gerechte! co mnie ta kubita kosztuje! — Salcze! Salcze! co kosztuje twoja repyracya?! geworłt!! — za tego pijądze to jabim mógł kupicz sobie całkiem nowe żone!...

Zagalopował się.

— Wiesz, widziałem psa, co grał w karty.

— To jeszcze nic! ja kupiłem psa tresowanego co także grał w karty.

— I...

— I sprzedałem go bo strasznie mnie ogrywał!

Kwiatki z koszar.

Kapral: — Sie! Einjähriger! wy już nie jesteście cywil! Wy sobie musicie zapamiętać, że tutaj wszelka cywilizacya idzie w kąt!...

Lustgarten, bogaty kupiec z Królestwa Polskiego chce zwiedzić Tatry.

— Jak wysoko na szczyt Gerłacha? — pyta się przewodnika.

— 1500 metrów.

— A ile wy żądacze za jeden metr przodowania?

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.
Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.